Nr. 39. Warszawa, dnia 30 (18) Września 1893 r. Rok XIII.

PRAWDA

TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

PRENUMERATA „PRAWDY"
(wraz z bezpłatnym dodatkiem)
W Warszawie: miesięcznie kop. **70**, kwartalnie rs. **2**, rocznie rs. **8** z odnoszeniem do domu.
Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rs. **2.** k. **50**, rocznie rs. **10.**

Adres: Żórawia Nr. 34.

Administracya otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt ważniejszych od godz. 10 do 5.
Redaktor przyjmuje interesantów w czwartki, piątki i soboty od 1 do 3 po południu.
Rękopisy drobne nie zwracają się.

Przedpłatę przyjmują: Administracya **Prawdy** oraz księgarnie, kioski i kantory pism peryodycznych.
Sprzedaż pojedynczych numerów po k. **20** w Warszawie w Administracyi pisma i w kioskach.
Ogłoszenia wszelkiej treści po kop. **10** za wiersz lub jego miejsce.

Do dzisiejszego numeru dołączamy w dodatku kwartalnym ark. 13—18 **Historyi filozofii nowożytnej**.

POLITYKA.

BAJDY POLITYCZNE.

Bismark jeszcze raz wykazał prasie europejskiej, że mu się od niej należy osobny pomnik. Przypomnijmy sobie tylko, jaki to w niej panował gwar za jego urzędowania. Codziennie drutem i pocztą napływały nieprzerwane potoki materyału — wstrząsających lub drażniących doniesień, intrygujących domysłów, anegdot, gróźb, nagłych zwrotów — tak że autorowie artykułów politycznych mieli tylko kłopot wyboru zajmujących tematów. Cały świat mógł był się zatrzymać w swym ruchu i redakcye gazet nie poczułyby braku nowin, dopóki ich w nie zaopatrywał Bismark. Od chwili jego ustąpienia zapanowała w prasie dokuczliwa cisza, a jeżeli przerywał ją jakiś krzyk, to tylko wtedy, kiedy w Friedrichsruhe ubezwładniony tytan zagrzmiał gniewnie lub wyjechał w podróż na tryumfalnym rydwanie. Wówczas telegraf zaczynał pracować, w redakcyach następowało nadzwyczajne ożywienie, a w dziennikach pióra tryskały ogniem. Chociaż b. kanclerz nie przestawał gadać cierpko i zrzędnie do rozmaitych deputacyj, które go odwiedzały, w ostatnich miesiącach pozwalał sobie coraz rzadziej na upływ żółci, gdyż naprzód czuł się sam znudzony swojem gderaniem, a powtóre widział, że siły go opuszczają. Do Kissingen przyjechał bez hałasu, zamknął się w mieszkaniu i przerwał nawet zwykłe swoje spacery. Nudno z tem było gościom, zwłaszcza tym, którzy przybyli po to także, aby go zobaczyć, ale ostatecznie pogodzili się z brakiem spodziewanej rozrywki. Mniemano powszechnie, że Bismark odosobnił się dla zdrowia i że prowadzi bardzo staranną kuracyę. Nagle wylatuje z Kissingen wieść, że był on ciężko chory, umierający (według jednych dostał ataku apoplektycznego, według innych — zapalenia płuc). Za tą nowiną przybiegła wkrótce inna, że cesarz Wilhelm przesłał swemu wrogowi serdeczny telegram i ofiarował mu na mieszkanie jeden ze swych poblizkich zamków. Dwa takie duże grzyby były za silną przyprawą dla jednego barszczu dziennikarskiego. To też odurzona prasa naprzód zaczęła wykrzykiwać, a potem bredzić. Stanął przed nią długi szereg najrozmaitszych i niezmiernie ważnych kwestyj. Czy cesarz chciał tylko wyrazić swoje współczucie zasłużonemu dla państwa człowiekowi, czy skorzystał ze sposobności, ażeby zrobić pierwszy krok ku pojednaniu? Czy wysłał telegram z wiedzą, czy bez wiedzy Capriviego? Czy Bismark wyciągnie rękę do zgody, czy nie? Czy „kurs nowy" pragnie pozostać nowym, czy może zawróci ku staremu? I tak dalej. W gamie najdziwaczniejszych bredni nie brakło ani jednego niedorzecznego tonu. Najgłośniej brzmiał domysł, że „stanowisko Capriviego zostało zachwiane, gdyż — to *gdyż* warto podkreślić — cesarz stanął obecnie w sprzeczności z jego poleceniem, zabraniającem przedstawicielowi Niemiec w Wiedniu przyjmować Bismarka urzędownie" — przed kilku laty. Rozważmy: Bismark, nazłorzeczywszy „nowemu kursowi," jedzie do Wiednia na ślub syna; Caprivi z woli cesarza nakazuje ks. Reussowi unikać go; teraz cesarz przesyła choremu Bismarkowi telegram ubolewający, a więc stanowisko Capriviego zostało zachwiane. Może tak jest, ale to pewna, że do tego wniosku nie prowadzi żadna logika. Bajkopisarze polityczni nie ograniczyli się na tem przypuszczeniu i zaczęli rozbierać możliwość powrotu Bismarka do władzy. Rzeczywiście, ludzie, z obowiązku swego przez całe życie regestrujący niespodzianki, wyskakujące z przyczyn im nieznanych, bo tajemnicą osłoniętych, mogą tak przytępić sobie zdolność oceny prawidłowego biegu wypadków, że w końcu wszystko im się wydaje prawdopodobnem. Bismark był najznakomitszym kierownikiem Niemiec, dotąd żyje, więc dlaczegóżby nie miał powrócić do władzy? Zapewne, nie jest to taka niemożliwość, jak np. postawienie na czele armii Moltkego. Ale owi bajkopisarze polityczni zapominają, że Wilhelm II nie jest właścicielem folwarku, który posprzeczał się i pogodził z doskonałym rządcą, ale monarchą, który ma swój wysoki honor i musi dbać o utrzymanie swojego majestatu, na który Bismark targnął się wielokrotnie. Są naiwni patryoci niemieccy, którzy mniemają, że gdyby „żelazny książę" powrócił do steru, nawa popłynęłaby gładko i szczęśliwie. Tymczasem nie potrzeba być zbyt przewidującym, ażeby wyobrazić sobie, jak daleco Wilhelm II skompromitowałby się wobec narodu i wobec zagranicy, gdyby znowu postawił obok siebie Bismarka, który go ciągle wyszydzał, ośmieszał, poprostu znieważał. Może on przez wzgląd na zasługi przebaczyć mu grzechy i swoje urazy nad grobem, ale nigdy wynieść na to stanowisko, z którego go strącił. Kto tego nie rozumie, nie rozumie ani położenia, ani najelementarniejszych zasad, których przestrzegać musi monarcha. Bajarze zapominają dalej, że ów przerażający ich lub ubóstwiany Bismark jest zgrzybiałym starcem, niezdolnym do żadnej pracy, zwłaszcza zaś do tak wymagającej świeżych sił, jaką jest urząd kanclerza. Łatwo jeszcze w przeddzień śmierci rozmawiać z deputacyą, ale niełatwo kierować losami wielkiego państwa. Zresztą jakakolwiek była ostatnia choroba Bismarka, niewątpliwie zniedołężniła go i zbliżyła do grobu. W osiemdziesiątym roku życia ani apopleksya z paraliżem, ani

zapalenie płuc nie przemija bez śladów; są to już ciosy dobijające zrujnowany organizm. Co tu więc pleść o pojednaniu się zwaśnionych, o powrocie do władzy gasnącego starca i tym podobnych niemożliwościach? Można mówić jedynie o zaszczytach pogrzebowych.

ROZWÓJ EKONOMICZNY A INTERESY POLITYCZNE.

Rozwój ekonomiczny, mianowicie ta okoliczność, że pojedynczy kraj przestał być, jak dawniej, samodzielnym organizmem gospodarczym, lecz stanowi jedynie prowincyę obszerniejszej całości — międzynarodowego obszaru wymiennego, doprowadził wreszcie do tego, że pojedyncze państwa, w imię swoich interesów politycznych, zaczynają rozmyślać nad następstwami tego stanu rzeczy. Niemcy dostarczają wzorowego przykładu, a świeża wojna z Rosyą jest może najlepszem świadectwem, że zagranica gotową jest, w razie potrzeby, skorzystać z takiego zależnego ekonomicznie położenia jakiegoś kraju.

Niemcy, jakkolwiek stanowią zgoła odrębne ciało polityczne, utraciły swoją gospodarczą niezawisłość. Corocznie produkują mniej zboża, aniżeli potrzebują. Niedobór jest bardzo znaczny. Zboże, na którem zbywa, sprowadzane jest z Rosyi, krajów naddunajskich, przedewszystkiem zaś z Ameryki północnej. Zresztą, na razie jest rzeczą mniejszej wagi, skąd ono przychodzi; najważniejszem jest to, że skądś musi napływać. O ile stoimy na gruncie czysto ekonomicznych wywodów, nie pozostaje nam nic innego, jak oceniać rozmiary tego dopływu i rozważać to, co w zamian Niemcy dają. Ekonomia też polityczna nie inaczej postępuje. Ale sytuacya przedstawi się zgoła inaczej, kiedy od gospodarczego punktu widzenia przejdziemy do czysto politycznego. Hymnom ekonomistów towarzyszy zgrzyt zębów wśród przedstawicieli generalnego sztabu niemieckiego. A datuje się to nietylko od chwili, kiedy Rosya podniosła cła, licząc na niedobór zbożowy u sąsiada i kiedy sprawa zależności ekonomicznej odrazu wypłynęła na jaw z całą mocą i wyrazistością. Już dawniej jeden ze strategów niemieckich, generał v. Leszczyński, wskazał na tę okoliczność, że Niemcy winny w swoich przymierzach politycznych liczyć się z potrzebą wyżywienia swojej ludności zbożem zagranicznem. A ponieważ wszystkie plany strategiczne państwa niemieckiego są oparte na założeniu, że wojna jest możliwą ze wschodnim sąsiadem i że wtedy dopływ zboża od wschodu będzie zupełnie zatamowany, przeto v. Leszczyński dowodzi, że Niemcy muszą za wszelką cenę zabezpieczyć dowóz tego towaru z Ameryki. Obszary zaatlantyckie wtedy staną się jedynym śpichlerzem, pokrywającym niedobór, a znaczenie ich, i tak już wielkie, wzrośnie w dwójnasób. Ale nietylko Ameryka odegra naówczas rolę ważną. Jest jeszcze w dowozie zbożowym inna kwestya, mianowicie, samego transportu. Należy przeto zabezpieczyć też zupełną swobodę dla jego działalności. Ale to znowu zależy od Anglii. Dopóki Wielka Brytania będzie trzymała się neutralnie, dowóz zboża może mieć nadzieję, że będzie odbywał się prawidłowo, ale tylko nadzieję. Prawdopodobieństwo dopiero wtedy staje się pewnością, jeżeli Anglia przyjmie wyraźnie przyjazną postawę i będzie ochraniała transporty zbożowe. A zatem ścisły sojusz z Anglią jest dla Niemiec polityczną koniecznością, nakazywaną przez najżywotniejsze potrzeby gospodarcze, jest niezawodnem następstwem tej okoliczności, że państwo niemieckie utraciło swoją ekonomiczną samodzielność i przekształciło się jedynie na pojedynczą prowincyę wśród międzynarodowego obszaru wymiennego.

Tak brzmią wywody generała v. Leszczyńskiego, wypowiedziane przezeń w urzędowych wydawnictwach sztabu generalnego. Ale trzeba oddać każdemu, co mu się należy. O wiele wcześniej przed generalnym sztabem dojrzało konieczność takiej perspektywy bystre oko zwykłego publicysty, R. Meyera. Ekonomista ten już oddawna w swoich artykułach zwrócił, a raczej usiłował zwrócić, bo wywody jego ginęły niespostrzeżone, uwagę szerszej publiczności na to, że prędzej lub później, lecz kiedyś musi przyjść do starcia pomiędzy potokiem nowoczesnego rozwoju ekonomicznego a interesami politycznemi Prus. Poszedł on dalej. Kiedy sztab generalny jedynie ubolewa nad istniejącym faktem, a nie wiedząc, co z nim począć, nawołuje do przymierzy, które już z tego powodu, że do nich wchodzi czyjaś obca wola, zawsze są rzeczą ryzykowną, Meyer usiłuje wyszukać środki zaradcze poważniejszej i trwalszej natury. Łatwo przewidzieć, że mogą one polegać tylko na złamaniu owej ekonomicznej zależności w zakresie zboża, co znowu może nastąpić jedynie wtedy, kiedy Niemcy będą produkowały tyle zboża, ile go potrzeba na zaspokojenie popytu krajowego.

Ale czyż jest to możliwem? Czy można cofnąć potężne koło dziejowego rozwoju i zepchnąć je z torów międzynarodowego podziału produkcyi na drogę wyłącznie krajowego zasklepienia? R. Meyer nie waha się ani chwili odpowiedzieć w sposób twierdzący, a odpowiedź, jakiej udziela, nabiera tem większego znaczenia, iż rząd niemiecki może będzie zmuszony zbiegiem okoliczności istotnie przyjąć zalecaną mu taktykę. Otóż ów ekonomista przedewszystkiem wykazuje, że gleba niemiecka bezwarunkowo jest zdolną wyprodukować tyle zboża, ile tego wymagają potrzeby kraju. Jeżeli jednak jest inaczej, wypływa to z dwojakiego rodzaju przyczyn. Naprzód, korzystając z premij wywozowych na cukier i ulg w zakresie produkcyi wódki, ziemianie niemieccy porzucili uprawę zboża i wzięli się do innych; powtóre, mnóstwo drobnych osad gospodaruje w najbardziej nieracyonalny sposób. Państwo, zdaniem R. Meyera, winno wdać się w tę sprawę, a jeżeli postanowi iść taką drogą, musi tem samem wziąć na siebie rolę organizatora i regulatora produkcyi rolnej. Prawodawstwo tedy winno wyznaczyć, że rok rocznie pod uprawę zboża ma być zużyta pewna przestrzeń, mianowicie taka, jaka jest wymagana dla zaspokojenia potrzeb ludności krajowej. Tem samem nieustająca zamiana pól zbożowych na plantacye buraczane i inne zostanie powstrzymaną. Powtóre państwo musi kontrolować sposób uprawy oraz jakość wysiewanego ziarna. Muszą ukazać się z jego strony agronomiczni inspektorzy, dozorujący trybu gospodarowania. Albo tedy upadek polityczny a przynajmniej niepewność jutra politycznego i konieczność opłacania zbytecznych sprzymierzeńców, albo ogłoszenie nowej ery stosunku państwa do go-

---

18)

ARNE GARBORG.

SPOKÓJ

(Przekład z upoważnienia autora).

Gdyby przynajmniej mieć kogokolwiek, przed kim by się można było wygadać, poskarżyć! Ach, gdyby zdołał odzyskać dzieci! Pomyśleć tylko, gdyby Gunnar powrócił i pokochał znowu ojca tak, jak wtedy, kiedy był maleńkim!.. Podobne myśli do płaczu niemal przywodziły Enocha.

I wirowały myśli te w głowie jego, jak koła, szarpały, targały póty, póki w skroniach nie zadrżał ból, nie zapłonął ogień. Wstrząsał niemi dreszcz jakiś, męczyło je jakieś lekkie łechtanie, uczucie takie, jak gdyby mózg nabrzmiewał, stawał się za wielkim — legł i muskać zaczął, muskać kosteczki. Budziły się w nim dziwne pomysły; chciało mu się stawać na głowie, wywracać kozły... myśli pędziły, niby w rozżarzonym pierścieniu, coraz goretsze i straszniejsze; zrywał się i odpędzał je, ale i bez nich żyć nie mógł; robiło się w nim tak pusto, tak jakoś niepewnie; wszystko, wokoło niego, usuwało się, usuwały się i własne jego nogi. *Musiał* mieć szum ten i wir w głowie, jeżeli od zmysłów odejść nie chciał; więc poddawał się i myślom władzy nad sobą nie odbierał.

Lecz kiedy niekiedy ustępowały same z siebie; szły sobie daleko, daleko; ciągnęła je nieznana jakaś siła, hen, daleko w noc zwodniczą, w mrok wieczny... on zaś zostawał sam, zapomniany i zgubiony, łamał dłonie i szeptał słowa, których nie rozumiał, przekleństwa, modlitwy, słowa bez sensu; słuchał ich zupełnie nieprzytomnie, tak, jakby to inny, a nie on, mówił.

Raz wieczorem dyabeł dokuczał mu więcej jeszcze, niż zwykle.

Tak był nieprzytomnym, że nie wiedział nawet, gdzie stoi i o niczem nie pamiętał, był jakby pomieszanym; lecz dokądkolwiek kroki swoje skierował, wracał wciąż, raz po razie, nad jezioro Heialandzkie, na miejsce, leżące poniżej małej zatoki, tam właśnie, gdzie woda była najgłębszą.

Na miejscu tem, wśród ciemnego wieczoru stał już dziś po raz trzeci.

Chciałby-ż tego Bóg?! dozwoliłże by Bóg na to? Dałżeby szatanowi swobodę działania?.. Enoch padł twarzą na wrzosy, chwycił się oburącz zarośli, tak się podtrzymując; drgawki, drżączki biegły po jego ciele; a dyabeł ciągnął go coraz bliżej, a na dole woda kusiła, szeptała i pluskała, tak cicho, tak pieszczotliwie...

„Ojcze niebieski; tego ty nie chcesz; nie chcesz!!“ Jak długo leżał tak, walcząc o swoje życie — nie wiedział; posunął się jednak o dobrą piędź ziemi naprzód; a dyabeł ciągnął i kusiły fale.

Nagle na łące, z południa od jeziora rozległ się silny, donośny śpiew. To Jönes Tualand, nauczyciel, śpiewał:

Wśród mroku błędny ognik niknie —
Nigdy spokojnie nie zaśnie...
Płomykiem strzeli, gdy wicher dmie,
Zadrży — a potem zagaśnie.

Smętne tony unosiły się wśród ciszy nocnej daleko, ponad łąkami; potem zamierały, odpowiedzi nie znalazłszy. Lecz dla Enocha były one pokrzepieniem.

Zagasł na skraju lasu ciemnego,
Co zdaje się we mgle tonąć,
Lubem marzeniem życia biednego
Było — spokojnie spłonąć.

Śpiew unosił się ku południowi, coraz dalej; ostatnie kilka wierszy zrozumiał Enoch z trudnością.

Nie zna pochodnia marzenia innego:
Chce tylko spłonąć;
I ognik pożąda uścisku zimnego,
W spokoju chce tonąć.

Czajka milcząco zatrzepotała w powietrzu. Słychać było szmer strumyka, płynącego pod wzgórzarzami Brekke. Z wy-

spodarstw rolnych i przymusowy postęp agronomiczny.

Zresztą tak, czy inaczej kwestya będzie rozwiązaną, to dla nas w obecnej chwili jest rzeczą drugorzędną. Najważniejszym jest fakt owego antagonizmu między interesami politycznymi a rozwojem ekonomicznym. *J. Wojewódzki.*

TYDZIEŃ POLITYCZNY.

Obrady delegatów niemiecko-ruskich nad traktatem handlowym rozpoczęły się już między obu państwami. Podobno Niemcy są gotowe do poczynienia znacznych ustępstw i wogóle objawiają dążność bardzo pojednawczą. Jest ona naturalnym wynikiem zamiarów rządu co do otworzenia nowych źródeł podatkowych dla pokrycia kosztów pomnożenia armii. Według pogłosek, ma być srodze obciążony tytoń, piwo, w każdym razie produkty przemysłu. Jeżeli on zaś poniesie ofiarę, musi uzyskać jakieś odszkodowanie w ułatwionym wywozie, co jest niemożliwem, dopóki rynek wschodni pozostaje dla niego prawie zamknięty. Strwożeni też złemi wieściami przemysłowcy niemieccy wyglądają traktatu, jak kania dżdżu.

W Prusach rozpoczął się już ruch przedwyborczy, gdyż na 31 października wyznaczone zostały prawybory (z których wychodzą mężowie zaufania, głosujący na posłów). Rozdział między grupami Richtera i Rickerta, na które rozłamała się partya postępowa, zaostrza się coraz bardziej jedną stroną ku prawicy, drugą ku lewicy sejmowej. Nieprzejednanym w tej sprawie jest Richter, który poprostu warcholi i chce zebrać sobie orszak ślepo za nim idący.

Niejaki Paolina Fallas rzucił w Barcelonie podczas przeglądu wojskowego bombę pod generała Martineza Camposa, która zabiła konia i paru ludzi, generała zaś ciężko zraniła. Sądząc z zachowania się przestępcy, należałoby przypuszczać, że jest to waryat, jak wielu innych, dopuszczających się podobnej zbrodni. Z drugiej jednak strony telegraf donosi o odkrytym spisku z szerokiemi rozgałęzieniami. Nie jest to pierwsze doniesienie tego rodzaju. Już z dawniejszych można było wywnioskować, że Hiszpania jest podminowana sprzysiężeniem rewolucyjnem, które rozpostarło się bardzo szeroko i sprowadzić może gwałtowny w niej przewrót.

Rokoszanie brazylijscy (ze sztandarem monarchicznym) robią dalsze postępy. Chociaż przesiewane i cedzone, nadchodzą jednak stamtąd wiadomości, niepozwalające wątpić, że rząd obecny nie wytrwa w walce. Trudno wszakże łudzić się nadzieją, że zwycięztwo powstańców położy ostatecznie koniec chronicznej rewolucyi. Kraj jest zbyt zawichrzony, ażeby mógł już dziś uporządkować swoje stosunki.

Toż samo powiedzieć należy o Argentynie, stojącej w płomieniach wojny domowej. I tam szczęście sprzyja orężowi rokoszan (federalistów), którzy ustawicznie przeciągają do swego obozu wojska rządowe.

Zrodzony przez odrzucenie bilu irlandzkiego ruch przeciwko Izbie lordów, rozrasta się ciągle w gazetach i wiecach. Wprawdzie hasło, domagające się zburzenia tej szanownej rudery, brzmi coraz silniej, jednakże przepowiednie o wszelkich przełomach w konstytucyi angielskiej trzeba zawsze przyjmować z wielką ostrożnością. Tam one nie odbywają się szybko.

Skutkiem bezrobocia w kopalniach ceny węgla doszły do bajecznej wysokości i wywołały nadzwyczajny zastój w przemyśle. Położenie jest groźne i dla samych lordów daleko groźniejsze, niż ataki na ich Izbę.

Gazety francuskie kipią oburzeniem na włoskiego następcę tronu za jego bytność w Alzacyi i Lotaryngii podczas manewrów niemieckich. W rozwoju waśni francusko-włoskich może nie było momentu ostrzejszego. Teraz już rozumy zupełnie milczą, mówią tylko namiętności.

LITERATURA I SZTUKA.

LITERATURA WŁOSKA.

Gabriele d'Aununzio. — Poema paradisiaco. — Odi novali, Milano 1893.

Są gwiazdy rozłupujące się w przestrzeni na dwie połowy, są inne, które bledną, tracą swój blask, albo też w zupełności gasną. Temuż samemu losowi podlegają inne jeszcze światy, te mianowicie, co są ukryte pod ludzkiemi czaszkami. Utrzymać te ogniska pałającemi, żeby rzucały najświetniejsze swe blaski, zorze i łuny, jest rzeczą nadzwyczaj trudną. Często świat zewnętrzny nie dostarcza im dość materyału palnego, często noszą wewnątrz siebie źródło wyczerpania i niemocy. D'Annunzio jest meteorem gasnącym, szybko przebiegł krótką wprawdzie, ale nader błyskotliwą drogę, której warto się przyjrzeć. Urodził się w r. 1864 na wodach Atlantyku, może dlatego ocean jest jego namiętnością najgłębszą. Lata dziecinne spędził w górach Abruzkich, do szkół uczęszczał w Prato, małem, smutnem miasteczku, oświetlonem mniej przez słońce, niż przez katedrę marmurową o płaskorzeźbach, zrobionych ręką boskiego Donatella: jest to taniec dzieci. Upodobanie do rzeczy pięknych rozwijały w nim lekcye muzyki i malarstwa. W szkicu autobiograficznym poeta z rozczuleniem przypomina poranki wiosenne, które spędzał w starym, surowym kościele, kopiując głowy nieregularne Fra Filippo Lippi. Wogóle miał namiętność do poprzedników Odrodzenia i mistrzów muzyki religijnej już w dzieciństwie, a zachował ją aż do chwili obecnej. Ale powołanie głębokie ciągnęło go w inną stronę, ku literaturze. Przeczytawszy w 15 roku życia „Odi barbari“ Carduccigo, poczuł w sobie natchnienie, ujął pióro i w ciągu dwu miesięcy napisał pierwszy tom swych wierszy „Primo vere,“ zawierający obok tłomaczeń z Homera i Horacyusza, wiele rzeczy oryginalnych, a wnet potem — tom następny „Conto nuovo“. Znajdujemy tu utwory zadziwiające siłą natchnienia i uczucia, a także pięknem formy.

„O, wschodzący sierpie księżyca — który błyszczysz na wodach samotnych — o sierpie srebrzysty, jakie żniwo snów — faluje tu, na dole pod twym miękim blaskiem! — krótki szelest liści — kwiatów, pól i lasu — tchnie ku morzu — żaden śpiew ni okrzyk — żaden dźwięk nie mąci — szerokiego milczenia. — Znużony miłością,— naród żyjących zasypia... — O, sierpie wschodzący księżyca — jakie żniwo marzeń — faluje tu na dole — pod twym miękim blaskiem!“ Struna marzycielstwa dźwięczała w tych pieśniach szesnastoletniego chłopca nader delikatnie i czarująco. Oprócz tego znajdujemy w pierwszych je-

---

brzeża podniosła się biała mgła, ścieląc się miękko, ciepło na sitowiu i kamieniach.

Enoch leżał wśród wrzosów i płakał. „Ocaliłeś mnie! Wielki Boże, tyś mnie ocalił, tyś modlitwę moją wysłuchał, tyś mnie ocalił!“

XXIV.

Wrócił do domu, noc przespał spokojnie i z jasną głową zbudził się rano.

Nie śmiał wierzyć w wieczór ubiegły, chodził przez cały dzień, dziwił i lękał się; za chwilę znowu się pewnie zacznie, znowu... Ale dzień minął spokojnie. Wieczorem zmówił rzewną modlitwę.

O drogi, łaski pełen Zbawicielu, proszę cię całą siłą zbolałego serca mego, na krew cię twoją proszę, dopomóż mi. Ty, któryś to sam przebył wielki ów lęk w ogrodzie Getsemane, ty, któryś w mękach śmierci, przybity do świętego drzewa, sam czuć musiałeś opuszczenie... O, ty znasz nędzę moją, wiesz, jak słabym jestem i bezzaradnym; ty będziesz ze mną i za rękę powiedziesz mnie poprzez ciemne ścieżyny śmierci...

Lecz jeżeli wolą Twoją jest, abym przez czas jakiś błąkał się jeszcze wśród tego zamętu... ty widzisz, Panie. Rozumieć musisz, że tak dla mnie najlepiej. Znasz mnie i wiesz, czego mi potrzeba... i co przenieść mogę. Oddaję się w ręce twoje; w tobie ufność pokładam. Ale... bądź miłościw, Panie...

Głos mu się urwał. Ze łzami kończył:

Bądź miłościw! Nie odchodź ode mnie! nie zostawiaj mnie nigdy samego. Czuwaj nade mną! Oswobodź mnie, jeżeli możesz, od okropnych bluźnierstw i myśli szatańskich! I prawadź mnie tak, zwłaszcza wtedy, kiedy bezrozumny jestem i sam rządzić sobą nie umiem, tak mnie prowadź, iżby wyjście było dobre, Panie, ku twojej chwale i gwoli ratunku dla biednej mojej duszy! I jeszcze jednej żądam rzeczy, Panie— stłumił głos, jakby w obawie. Wiesz, że miewam czarne godziny, w których dyabeł szeptami ucho mi zatruwa; — Ty wiesz o tem, Panie!! — krzyknął. *Na to* mu nie pozwolisz, tego mu wzbronisz! Czyń ze mną, co zechcesz, ale uwolnij mnie od szatana. — Ojcze nasz, któryś jest w niebie, święć się imię Twoje...

Annie łzy z oczu popłynęły potokiem.

— Ale wkrótce zrobiło się znowu gorzej.

Na jarmark Anna i Enoch pojechali do miasta; chcieli spróbować, czy nie uda się ściągnąć Gunnara napowrót do domu.

Gunnar przyobiecał. Na wiosnę miejsce wypowie — zapewniał. Enoch cieszył się, jak dziecko.

Na Boże Narodzenie, kiedy Gunnar przybył w odwiedziny do domu, na Haawe formalnie ucztowano. Zjechało się kilku krewnych, Enoch zakupił na święta różne przysmaczki, wino nawet i kawę; nad sobą panował tak dalece, że był jakby innym człowiekiem. Gunnar zaś, dowiedziawszy się od matki, jak rzeczy stały, był uprzejmym i uległym wobec ojca.

Enoch jednak zmiarkował, że Gunnar obawiał się pozostać z nim sam na sam, to zaś tak go dotknęło, że zobojętniał na wszystko. Zaledwie się goście rozjechali, dostał napadu w najgorszym rodzaju.

Wróciła dawna bezsenność, dawny, coraz gorszy zamęt w głowie. Już nawet przed obcymi niezawsze umiał nad sobą panować.

Przychodził ten i ów ze słowami pociechy; był pastor, był Lars Danielsen; byli i inni; ale zdawało się, że odwiedziny te źle raczej a nie dobrze mu robią.

Anna coraz częściej myślała o doktorze.

Korneliusz, syn Helgego z Północy, był nędzny; myśleli wszyscy, że ma suchoty. Zawsze wyglądał źle, chudym był i słabowitym, a i chód jego dziwnie był jakiś niepewny; lecz teraz choroba powaliła go do reszty. Przez całą zimę nie wychodził; teraz legł i zaczęto przypuszczać, że się już nie podniesie. Helge pojechał do miasta po doktora. — Anna radziła, aby i Enoch ze sposobności tej skorzystał. Sprzeciwiał się, lecz nie było już w nim siły. „Czyń, jak chcesz — powiedział wreszcie. Mnie jednak nic nie pomoże.“

Gruby, ociężały pan, z dużą, czarną brodą, o twarzy obrzmiałej i czerwonych oczach wszedł w butach podróżnych, fu-

go zbiorkach hymny na cześć morza, odznaczające się szczerym, gwałtownym zapałem. Młody poeta pojechał do Rzymu na uniwersytet i wydał pierwszy zbiór swych nowel „Terra Vergino“, pełen liryzmu i zmysłu obserwacyjnego: są to obrazki życia chłopów abruzkich i wspaniałych opisów natury. Powodzenie było niesłychane. „Imię moje obiegało wszystkie usta, szukano mnie, kadzono, ubóstwiano, zwłaszcza kobiety. Wówczas wpadłem w niebezpieczeństwo nadzwyczajne. Pochwały mnie upoiły. Rzuciłem się w życie bez rozmysłu, żądny rozkoszy, z całą gorączką młodości. Wszystkie drzwi stały przede mną otworem, przechodziłem z tryumfu w tryumf, nie oglądając się nigdy poza siebie. I popełniałem błąd po błędzie. „Rodzaj szaleństwa afrodytyzmu opanował mnie“ — tak pisze d'Annunzio, nie bez odcienia samochwalstwa: pokora i skrucha chrześciańska jego autobiografii są gorsze od najbardziej wyrafinowanej dumy. Owocem powyższej fazy „szaleństwa“ — gdy może klepiąc jakąś praczkę po biodrach wyobrażał sobie, że to rozpusta Sardanapala — był nowy zbiór wierszy, zatytułowany „Intermezzo di rimo“, opiewający z naiwną prostotą i gorączką niesłychaną wszystkie rozkosze ciała i zmysłów. Piękno klasyczne formy nie ocaliło poety: wywleczono przeciw niemu z lamusa krytycznego stary, zardzewiały zarzut niemoralności. Nencioni, Chiarini, Penzacchi — cały areopag literatury włoskiej, który niedawno jeszcze zachwycał się młodym wieszczem, wyniósł mu obecnie jednogłośnie tytuł *poeta porco*. Teraz d'Annunzio ma minę, jakby się podpisywał pod tym wyrokiem, ale wart jest, aby go broniono przeciw niemu samemu. Rymy powyższe były wyrazem nastroju tak szczerego, iż świadczą może najlepiej o oryginalndści i talencie poety. Życie „rozpasane“ wyczerpało go. „Byłbym niechybnie zgubiony — powiada — gdyby szczęśliwa okoliczność nie zmusiła mnie powrócić do mych dóbr, na brzeg zbawiennego morza.“ Nastąpiły dwa nowe tomy nowel — „Il libro delle Vergini“ i „San Panteleone“ — bez większego znaczenia i zbiór piękny wierszy „Isaotta Guttadauro,“ objawiający zwrot w sztuce d'Annunzia. Z pod kierownictwa Carducciego, który towarzyszył mu w pierwszych tworach poetyckich, przeszedł obecnie do obozu symbolistów francuskich. Toż samo wyrafinowanie uczuć i wrażeń, odzianych w formę archaiczną, zapożyczoną od poetów włoskich z XV stulecia. Nie ma tu już ani śladu z tej „furyi“ i zapału, które charakteryzowały „Canto nuovo,“ ani też scen greckiej nagości z „Intermezzo“; nastąpił okres bardziej spokojny analizy wrażeń subtelnych i szlifowania wyrazów rzadkich. Poeta przechodził tu swój okres aleksandryjski: wyłącznym celem jego dążeń było zdobycie doskonałej formy. Wszyscy jednogłośnie przyznają, iż pod tym względem d'Annunzio stał się w tym okresie mistrzem pierwszorzędnym, mogącym śmiało współzawodniczyć nawet z Carduccim. Do tejże fazy należy powieść „Il piacere,“ napisana pod oczywistym wpływem Huysmansa i jego „A rebours,“ gdzie nastrój dekadencki poety doszedł do krańcowego rozwoju. Umieścił on tu całe wyszukanie formy i kolorytu, wszystkie subtelności i wyrafinowania, do których był zdolny. Bohater powieści, André Sporelli, wielki pan i artysta, jest dekadentem najczystszej wody, o fizyonomii duchowej dobrze znanej z romansów francuskich. Zajmuje się malarstwem, jest wielbicielem poprzedników Odrodzenia i ma na celu oblać efektami świetlnymi Rembrandta elegancye rysunku artystów florentyńskich XV stulecia, jak Botticelli, Ghizlandajo, F. Lippi. Autor wyrzucił tu ze siebie cały zapas wrażeń, zapożyczonych od najmłodszej szkoły francuskiej, jakby dla ostatecznego uwolnienia się od nich. Bohater szukający zapomnienia w szuce i egzaltacyi w miłości epikurejskiej, nareszcie się znudził. W jego naturze są struny czułe, których arystokratyczna pogarda i obojętność nie mogły zadowolić. W następnym zbiorze wierszy „la Chimera“ zwraca się ku swemu bohaterowi: „Sperelli, ona płacze w głębi twej istoty, twa dusza nareszcie zrozpaczona i samotna. Zrób więc, żeby zebrała wszystkie boleści świata. Jak oliwka pod potężnem ciśnieniem wydziela płyn łagodny, tak niechaj twe serce złamane wyłoni pieśń, która zachwyca i pociesza.“ Ale pieśni tej czas jeszcze nie nastąpił. Poeta nie zdołał zrzucić z siebie starego człowieka. I w „Chimerze“ i w „Elegiach rzymskich“ pozostaje on ciągle dekadentem, psychologiem, analistą, a na przemiany i poganinem. Jedna z elegii najlepiej nam scharakteryzuje ten nastrój: „Zawsze, zawsze będę miał przed oczyma tę wizyę. Oh! ten las, niemy, blady, obnażony, którego nie zapomnę nigdy! Niebo było pochmurne. Czasami pod tchnieniem wiatru przebiegał jakby dreszcz po wierzchołkach schorzałych. Tu i owdzie na polanach kupy węgla, podobne do stosów, na których ciała już się pozamieniały na popiół, dymiły smutnie. W powietrzu wznosiły się kręgi faliste i rozpraszały się zwolna. I po ziemi utworzonej z liści martwych, po tym grobie jesiennym stąpały cienie. Popiół dymiący i cienie zdawały się w tem miejscu wyrażać wielkie prawo: jak przyroda, jak liście, jak wszystko — trzeba, żeby najczystsze rzeczy duszy więdły i ginęły; trzeba, aby sny się rozpraszały na kurz. O człowieku, trzeba koniecznie, aby po pijaństwie nastąpił przesyt i wstręt ku temu, co cię upoiło. Nikt nie ucieknie przed Losem. W ciele i w duszy wszystko jest skazane na śmierć i zepsucie. Kto z nas dwojga cierpiał okrutniej? Ona, ona mnie kochała; ona przynajmniej czuła że żyje, życiem okropnem, ale płomień gorzał w jej sercu, płomień jeszcze czysty i promieniejący. Ja, ja jej więcej nie kochałem. Moje serce wezbrane zdawało się ciemną zgnilizną; ma dusza stępiała, nie miała innego uczucia oprócz nudy bezgranicznej. O, kobieto, jakże ja ci zazdrościłem!“ Nastrój ten nie przechodzi jeszcze w powieści p. t. „Niezwyciężony,“ gdzie autor analizuje manię samobójstwa dziedziczną na człowieku opanowanym przez miłość. Tu znowu wpływ Bourgeta jest oczywisty.

Potem nastąpił nowy zwrot w życiu duchowem autora. Wielka boleść zorała tę wyjałowiałą glebę i rzuciła na świat zupełnie odmienne od dotychczasowego światła. Zaczął płacić za wszystkie swe błędy, nieprządki i wybryki. Cierpiał z takiem samem natężeniem, jak poprzednio używał. Na nowym tym gruncie z łatwością przyjęły się chrześciańsko-mistyczne poglądy Tołstoja i Dostojewskiego. W tym nastroju napisane zostały „l'Innocente“ i „Poema paradisiaco.“ Pierwsze z tych dzieł, powieść nosi na sobie wprawdzie jeszcze potężne ślady wpływu Bourgeta, a mianowicie, gdy bohater jego na wzór „Ucznia“ stawia sobie psychologiczne zadanie dręczenia żony, pod pozorem, iż wielkość moralna zależy od siły przezwyciężonych cierpień. Lecz analiza zgryzoty, której

---

trze i kapeluszu na głowie i skierował się wprost ku łóżku.

— No cóż ci tam, bratku?

— Tak, prawdę powiedziawszy — odparł — nie wiem; istotnie dużo mi dolega cierpień... a może tylko jedno.

— No, prędzej trochę, mój drogi, czasu nie mam. Dyabeł was wie, jak to wszystko wolno u was idzie... więc?

— To chyba przedewszystkiem grzech mi dolega. Czuję w sobie taki niepokój, taki lęk...

— Miałożby to u licha być to samo, co tam u nich? Zajrzał Enochowi w oczy, zbadał puls itd. Hm, tyle prawią o obyczajach wiejskich, czystych... hm, tak... Hm... No. Nic szczególnego. Więc co? „Grzech“? Ale cóż, u kata, mnie to obchodzić może? Z pastorem o tem! Pomów o tem z pastorem, co? On cię pocieszy.

Enoch czuł się nieswój; od doktora buchała wódka. A nadto te przekleństwa co chwila...

— Najgorzej, że spać nie mogę — rzekł. Taki mam niepokój z sumieniem, taki lęk, i taki... Nagle krzyknął: jestem w piekle!

— Alež cicho, człowieku! czyżby tu *mens* był w nieporządku? Hm, nie, jakoś nie widać. Nie, tylko pewnie znowu ta ich religijność. Chodzisz prawdopodobnie na rekolekcyę i napychasz się siarczystemi bzdurstwami, rozumiem. Hehe! Jak powiedziałem, kochanku, jeżeli się tam coś popsuło w sumieniu, idź do pastora; mnie te sprawy nic nie obchodzą. Ale środek na sen dać ci mogę. Słuchaj - no, mała, macie wy tam atrament i pióro?

Jedna z dziewczynek pobiegła do śpiżarni po żądane przedmioty.

Doktór stał plecami odwrócony do Enocha, szukał czegoś przy sobie; wyjął papier, wyciągnął z worka butelkę od lekarstwa, wypił, otrząsł się, flaszkę zakorkował i napowrót do worka wsunął. Potem zaczął się przechadzać i mówić do siebie.

— Hm, ludziska muszą waryować. Takie małe, nizkie izdebki; brak światła i powietrza, a w dodatku jeszcze — piekło. Ale piekła wyrzec się nie chcecie! — rzekł, zwracając się do Enocha. Jedyna to pociecha wasza, co? Biedak, człek ciemiężony musi przecież mieć jakieś miejsce, dokądby posyłać mógł swoich ciemiężców; odwet to — na wasz sposób! Ewangelia ubogich, hehehe!.. A to samo, jak widzisz, może się zwrócić przeciwko wam, co? Ty naturalnie byłbyś pierwszym, któryby mnie ukamienował, gdybym powiedział, że piekło tak jest zdziecinniał, jak tu za moją dłonią... Ale gdzież u dyabła, siedzi ta mała... No spiesz-że się! Dziękuję.

Siadł i napisał,

— Silne lekarstwo! — prosił Enoch.

— He? co? silne? Niezły sobie! Miej się na baczności bratku! Z głową twoją może być źle! Z rozumem! Pojąłeś?

Kropli Enoch zażywać nie chciał. Nie miał odwagi — mówił.

— Pomyśl tylko, gdybym się nie mógł zbudzić, kiedy sny trapić mnie zaczną...

A kiedy je wreszcie zużył, nie pomogły.

Stan jego szybko się pogarszał. Nie cierpiał może tyle, co dawniej, ale dziwnie dziecinniał.

Miewał taką moc dzikich, bezsensownych pomysłów, których mu wyperswadować nie było można.

Nie mógł żyć, nie mógł; Gunnar niech wróci, a on sobie pójdzie... Anna słyszała to tak często, że przestała odpowiadać. Lecz chodziła z trwogą w sercu i czuła, że i z nią coraz jest gorzej. Najstraszniej bywało w nocy; wtedy, leżąc, drżała i bała się — a sen uchodził. Jeżeli zupełnie zwarjuje, natenczas cóż mu na myśl przyjść nie może?

Pewnego dnia naszła go znienacka w stodole; leżał i wywracał kozły w sianie, jak mały dzieciak.

— Ależ, Enoch! — jęknęła i poczęści z oburzenia, a poczęści z trwogi o niego — rozpłakała się.

— Jeszcze mi płakać będziesz! — wybuchnął. Poczekaj, wkrótce mnie się już pozbędziesz. Powiedz tylko, abym to uczynił! zaskomlał; mnie samemu brak siły; gdybym miał siłę!

(D. n.).

dzieło właściwie poświęcone zostało — świadczy o naśladownictwie Dostojewskiego, który znakomicie w swym Roskolnikowie wyodrębnił to uczucie, po dokonaniu zbrodni, od żalu i skruchy. Bohater d'Annunzia jest człowiekiem zmysłowym i niepozbawionym czułości, niezdolnym wszakże ani dość silnie kochać, ani też chcieć. Opuszcza żonę i bierze metresę. Żona ze swej strony daje się uwieść. Wówczas nawrotem uczucie odradza się w naszym bohaterze. Autor zgłębił dokładnie całe piekło zazdrości i nienawiści ku dziecku, *intruzowi*, które się zrodziło. Nienawidzi z szaleństwem, tysiącem rozdarć wewnętrznych i podłości, które plenią się w nim, jak rośliny jadowite i doprowadzają do zabójstwa niewinnej ofiary. „Dzieło to pisane jest przez człowieka, który wiele cierpiał" — powiada autor. Od Shakespeare'a zapożyczył to, co możnaby nazwać pięknem artystycznem zbrodni, od pisarzy ruskich analizę zgryzoty. Ta ostatnia mocno się różni od żalu i skruchy. Zgryzota jest tylko czysto fizyczną, instynktowną reakcyą zbrodni w duchu ludzkim, przyczem poczucia własnego upadku i świadomości swej winy jeszcze niema. Nieszczęśliwie przed dokonaniem zbrodni walczy ze swą myślą, pchającą go do czynu, po dokonaniu — walczy ze wspomnieniem. Dopiero faza następna, gdy duch do gruntu przez zgryzoty zjedzony został, gdy duma ostatecznie uznała się za zwyciężoną, gdy siły do walki wewnętrznej niema więcej, jest żalem i skruchą, przyznaniem swej winy, żądzą zamazania jej cierpieniem lub religią. Winowajcy słabi przebiegają cały ten cykl z nieubłaganą logiką. D'Annunzio znajduje się obecnie w ostatniej jego fazie — skruchy i przyznaje się do tego z otwartością trochę ambarasującą. „Poema paradisiaco" jest właśnie dziełem pełnem skruchy, łez i rozpaczy. Skończył — powiada — drogę swych błędów i powraca zraniony, złamany. Wydaje się być rekonwalescentem, jeszcze bardzo chorym, dla którego świat nie zupełnie się odróżnia od wizyi: nie wie jeszcze, czy sobie tylko przypomina, czy też istotnie widzi. Jest potulny i pokorny. Jego duma ostatecznie się zawaliła, niema już sił ani cierpieć, ani nawet myśleć. „Oh, nie cierpieć więcej! uciec od tych gniewów, od tej walki okropnej, słyszeć nareszcie cudzy głos, nie swój." Religia stanowi dlań tę ucieczkę. Pewnego dnia miał wizyę. Było to już po południu. Zdala i zblizka rzeka się uśmiechała, jak za dobrych czasów. W głębi serca wszystkie potwory się uległy. „I widziałem — powiada — brzeg Jordanu; i widziałem Jezusa w blasku szaty czerwonej, jak płomień, który się pochyla, i koło Niego widziałem Jana, który rozlewał falę na głowie boskiej. Wówczas, gdym tak szedł wzdłuż rzeki nabożnej, świat zaczął tchnąć ku słońcu nie wiem jaką niemą dobrocią, drzewko i świat były mi braćmi. I w takiem świetle szczęśliwem i w takiem milczeniu usłyszeliśmy wyrazy: „czyńcie wszystko, co jest sprawiedliwością." Obrazy i myśli, które unoszą się przed jego znużonemi oczami są niejasne, niewyraźne, następują po sobie bez związku, ale pełne wdzięku i szczerości. Nie chce więcej kłamać. Wyrzeka się swej młodości. By go pocieszyć, ileczyć czyż nie ma jeszcze wielu rzeczy? „I drobne listki na gałązkach wiosennych? I niebo tak wielkie? I dzieci? I matka?" — a głównie religia. W ciągu krótkiego swego życia przebiegł on po kolei wszystkie fazy uczuciowości literackiej: pogaństwa, symbolizmu, analityki, chrześciaństwa. Będąc mistrzem formy, nie miał nigdy ani nastroju, ani pomysłu oryginalnego. A ponieważ wszystkie cudze wyczerpał, więc można sądzić, że karyera jego jest skończona. Chyba że się stanie jeszcze uczniem Nietzschego. Alež ten głosi: „nie będziecie znali ani zgryzot, ani żalów!" gdyż świat nie powinien być szpitalem, składającym się z chorych i sióstr miłosierdzia.

L. W.

ŻYCIE SPOŁECZNE.

WYCHODŹCTWO W GALICYI.

Lwów, 24 września.

Zjazd prawników i ekonomistów w Poznaniu odsłonił po raz pierwszy dokładniej stan naszego wychodźctwa. Nas tu zajmie głównie wychodźctwo z Galicyi, które nawet w sprawozdaniu J. Kleczkowskiego przedstawia rozpaczliwy obraz.

Galicya pod względem geograficznym stanowi dwie części od siebie różne: wschodnią z klimatem stepowym, zimnym i narażonym na wielkie susze lub deszcze, i zachodnią, z gruntem piaszczystym lub mało żyznym. Rzeki liczne, mające charakter górskich, są do spławu nieprzydatne, a kilka razy w roku wzbierają gwałtownie, sprowadzają wylewy i zniszczenia, które przez wytrzebienie lasów stają się coraz częstsze i szkodliwsze. Klimat dżdżysty, gdyż chmury, pędzone wiatrami od wschodu, północy lub zachodu, oziębiają się w Karpatach i sprowadzają obfite opady; ludność gęsta, a tem samem własność podzielona, niedająca rodzinie dostatecznej podstawy do bytu; brak zaś fabryk ogranicza zarobek, który spada od 12 do 15 centów dziennie, tj. poniżej kosztów wyżywienia jednostki.

Ze sprawozdania np. z Rzechowa dowiadujemy się, że najemnik usługuje przy maszynie za 4—5 cent.! Stan podobny oddawna zmuszał ludność Galicyi zachodniej do szukania zarobku w Królestwie, dokąd też odbywa się wychodźctwo na lato do żniwa, albo w zimie do młocki w strony, gdzie lepiej płacą, a pewna liczba robotników pozostaje w okolicach odleglejszych na służbie, chcąc zapewnić sobie na dłużej stały sposób do życia. Podobny kierunek szukania pracy ma udawanie się na flisactwo w okolicach położonych wzdłuż Wisły. Szukający pracy mają czasami zamówienia, ale najczęściej idą na oślep i jeśli znajdują popyt, opuszczają już przyjęty najem, skoro im zdarzy się coś pozornie korzystniejszego. Stąd też częste zawody i nieporozumienia. Robotnicy idą razem, demoralizują się wzajemnie i wracają z nieznacznym zarobkiem.

Do Królestwa Polskiego wysiedlają się też gospodarze, których zachęca nadzieja kupienia większej ilości ziemi, tańszej tam, aniżeli w miejscach ich pobytu. Zdarza się to zwłaszcza w powiatach granicznych z Królestwem.

Drugi kierunek, jaki obiera ruch ludności, jest na wschód samej Galicyi, oraz dalej na gub. wołyńską, Podole ruskie, Besarabię i Rumunię. Ruch ten jest także czasowem poszukiwaniem zarobku, na zimę do gorzelni albo do cukrowni. Ludność szczególnie przy pracy w gorzelniach rozpija się, demoralizuje i dlatego przynosi ze sobą niezbyt znaczny zarobek. Nieraz robotnik wychodzi w lecie na żniwo do Królestwa, a na zimę do wypasu bydła do gub. podolskiej, tak że w domu bywa tylko jako gość.

Trzeci kierunek ruchu ludności ku południowi wiedzie ją na Węgry, z powiatów na zachód wysuniętych, jak Biała, Wadowice, do Ostrawy morawskiej. Wyprawa opłaca się, gdyż tam robotnik zarabia dziennie od 1 do $1\frac{1}{2}$ zlr. i stąd emigracya rośnie.

Ruch ten różnostronny wskazuje, że ludność Galicyi, mianowicie po lewej stronie Sanu, nie znajdując na miejscu zarobku, szuka go tam, gdzie o nim zasłyszy, udając się na wszystkie strony, najdawniej i najczęściej do Królestwa, a obecnie liczniej na Węgry i do Morawii. Poszukiwanie pracy nie jest nigdzie uregulowane, a robotnik pozostawiony swemu losowi. Pośrednikami bywają ci sami włościanie, którzy już poprzednio wędrowali za robotą, zwykle rządy, a w małej tylko części agenci żydowscy, używani przy dworze. Z braku organizacyi ruch ten sprowadza dla robotnika koszty, nieraz przykrości i zawody. Życie gromadą demoralizuje, a pracodawcy nie chcą i nie mogą troszczyć się o robotnika, którego najmują na kilka tygodni i z którym prócz tej chwilowej potrzeby nic ich nie łączy.

Obok tych prądów przesiedleń od lat 20, rozpoczął się szerszy, pozaeuropejski do Ameryki w dwóch kierunkach z odmiennym charakterem: do Stanów Zjednoczonych i do Brazyli. Emigracya do Brazylii ma na celu stałe osiedlenie, wynoszą się tam gospodarze, sprzedający tu grunt i zabierający z sobą rodzinę; do Ameryki północnej zaś udają się zarobnicy, albo gospodarze ubożsi.

Nie są to ludzie zupełnie biedni, ale tacy, którzy mają trochę grosza na drogę; a więc wieśniak, dostający małą spłatę przy podziale ojcowizny, właściciel kawałka gruntu, albo gospodarz odłużony, obawiający się sprzedaży swej własności. Udają się tam także rzemieślnicy, jak: stolarze, krawcy, ale nie tak licznie, ani z tak pomyślnym skutkiem. Najwięcej powodzenia mają ludzie silnych ramion, prości wyrobnicy. W ostatnich czasach coraz więcej dziewcząt jedzie do Stanów Zjednoczonych w nadziei zarobku i zamążpójścia, co im się zwykle udaje. Za ocean podążają emigranci najczęściej z zamiarem powrotu. Podróż dalsza i kosztowniejsza sprawia, że pozostają tam czas dłuższy, zwykle trzechletni, poczem wracają do kraju i często puszczają się na nową wędrówkę. Nawet żydzi wyjeżdżają z zamiarem powrotu, chociaż często zabierają rodziny do siebie w razie powodzenia. Czasowa ta emigracya włościańska przemienia się nierzadko na stałą, jeżeli wychodźca tam się ożeni, jeżeli ma niezwykłe powodzenie i sprowadza rodzinę, lub jeśli mu niezbyt się powodzi a wstyd nie pozwala wracać do kraju, wreszcie wówczas, jeżeli na miejscu obawia się kary z powodu przekroczeń ustawy, lub ze względu na nieodbytą służbę wojskową.

Główną jednak pobudką do wysiedlania się jest niski zarobek, który często nie wystarcza na życie (kilkanaście centów dziennie), a nie dozwala nigdy na poprawę doli. Tymczasem w Stanach Zjednoczonych zarobek dzienny od 1 do 3 dolarów daje możność dobrego pożywienia i oszczędności, a zatem otwiera nadzieję polepszenia losu. Pobudki moralne nie powodują wysiedlań, ale się do nich przyczyniają. Z listów wychodźców przekonać się można, że tęsknią za krajem i za rodziną, pociąga ich jednak równość wobec prawa i brak szykan władz, jakie w Galicyi na każdym kroku się spotyka. Lud nasz czuje się tam traktowanym na równi, kiedy tu dawne zabytki szlachetczyzny sprawiają, że go traktują z góry, wszystko, co mu się prawnie należy, podawane jest jakby z łaski. Nic więc naturalniejszego, że cenią bardziej życie wolne w Ameryce.

Ponieważ władze do udzielenia paszportu wymagają 250 zlr., przeto wychodźcy wzajemnie sobie pożyczają pieniądze, aby je mogli okazać w starostwie. Kwoty potrzebne na drogę są jedynie ich majątkiem wywożonym z kraju; nie otrzymują oni stąd żadnych zasiłków, przeciwnie, przesyłają do kraju swoje oszczędności. Przesyłki te idą dla pozostałych rodzin, niekie-

dy (na ręce księży lub innych zaufanych osób) dla przechowania do ich powrotu.

W niektórych urzędach pocztowych przypływa z Ameryki po 20 do 30,000 złr. rocznie. Z wielu gmin donoszą też, że włościanie wychodźcy pospłacali długi, odkupują grunty po powrocie. Ci nawet, którzy pierwotnie odradzali od emigracyi, zaniechali tego, widząc, jak wielkie sprowadza ona korzyści materyalne. Moralny wpływ tych wędrówek rozmaicie bywa oceniany. Zmateryalizowanie jest najczęstszym zarzutem, wielu jednak księży przyznaje, że osłabienie wiary nie jest ani powszechnem, ani stałem. Wobec obcych solidaryzuje się nasza ludność, nabiera rozumienia swej odrębności od innych, tak iż wracający mają silniejsze poczucie plemienne, niż je posiadali przed wyjazdem. Emigracya nie opiera się dziś na agencyach, chociaż z przeszłości są obwinienia, że ją propagowali żydzi w nadziei taniego nabywania ziemi, a potem dla zarobków na pośrednictwie. Obecnie wszelako zachętą do wychodźctwa są listy i dolary amerykańskie. Ruch do Stanów Zjednoczonych obejmuje środek kraju po obu stronach Wisłoki. Główne zatem wychodźctwo pochodzi z powiatów: Jasło, Krosno, Sanok. Ze wschodniej Galicyi emigruje ludność żydowska. Największą dążność do szukania zarobku w nowym świecie mają powiaty leżące w pobliżu okręgów naftowych. Można przypuszczać, że większa inteligencya, zetknięcie się ze światem pobudzają fantazyę i dzielność umysłu, zachęcając do przedsiewzięć trudniejszych i połączonych z niebezpieczeństwem.

Ludność polska w Stanach Zjednoczonych przybiera olbrzymie rozmiary, skutkiem małej stosunkowo śmiertelności (zdrowy klimat i dobrobyt są tego przyczyną) i wielkiej siły rozrodczej. Pod tym ostatnim względem tylko murzyni dorównywują polakom. Najstarsze nasze kolonie powstały w stanie Texas, trudniące się tu przeważnie uprawą bawełny, słynnej w całym świecie. „Polish cotton" droższa jest na rynkach amerykańskich, niż „sandomierska" pszenica w Europie. W ostatnich czasach główny napływ ludności naszej skierował się ku wielkim jeziorom i do Pensylwanii.

Nowopolskie to społeczeństwo składa się przeważnie z ludu wiejskiego, który tylko częściowo osiedla się w fermach. W większej swej części udaje się na zarobek do kopalń i miast przemysłowych. Wprzężony w wielkie przedsiębiorstwa amerykańskie, tworzy on proletaryat w znaczeniu amerykańskiem, tj. należy do masy roboczej, niemal najgorzej płatnej; w znaczeniu zaś naszem tworzy on półtoramilionową ludność, względnie zamożną. Pod tchnieniem wysokiej cywilizacyi lud ten nadzwyczaj szybko przychodzi do dobrobytu i swej plemiennej świadomości, a zarazem staje się pracowitym, oszczędnym, rządnym i butnym; ten ostatni przymiot wypływa tak z tradycyi, jako też i z poczucia godności osobistej, podniesionego o znaczną skalę wyżej w stosunkach wolnościowych amerykańskich. Z początku był w Ameryce sam lud roboczy. Pierwszą inteligencyę, usiłującą go połączyć w jakąś organizacyę, stanowili księża, którzy potworzyli parafie, bractwa i stowarzyszenia i stąd taki rozrost niepomierny katolicyzmu. Inteligencya świecka powoli dopiero wyrabia się i stanowi coraz poważniejszy zastęp.

O koloniach w Brazylii podał dokładniejsze wiadomości dr. Józef Siemiradzki. Pierwsze osady polskie powstały tam po r. 1870 z włościan galicyjskich i wielkopolskich. Z Królestwa dopiero 1890 r. napłynęło ich podczas t. zw. gorączki emigracyjnej, skutkiem namowy agentów. Do starych kolonij przybywali i przybywają wciąż ludzie, zapraszani przez krewnych i przyjaciół, którzy się tam dorobili majątku. Zbyt wielka masa ludu przypłynęła wtedy naraz, aby mogła znaleźć odpowiednie rozmieszczenie. Dziś są warunki lepsze. Rząd brazylijski zmienia się co chwila. Wszakże wielka polityka mało wpływa na rozwój kolonij. Nie mieszając się do polityki, emigranci rosną w zamożność i coraz więcej nabywają ziemi. Na pomoc rządową nie można zawsze rachować, jest ona zawodną. Własna praca zaś i własny kapitał daje jak najświetniejsze wyniki. Najszczęśliwiej udała się kolonizacya polska w stanie Parana, dokonana przez niby marny i nieudolny żywioł chłopski z północy Europy. Chłopi nasi opanowali tu najważniejsze punkty kraju, szczególnie arterye komunikacyjne, wodne i przyszłe kolejowe. Pod Hurytyką, stolicą tegoż stanu, zamieszkałą przeważnie przez niemców, znajduje się w kilkanaście mil naokoło wieniec naszych kolonij. Przyrost naturalny ludności naszej jest ogromny: zachowała ona swą siłę rozrodczą z kraju rodzinnego, a zmniejszyła śmiertelność do niebywałej w kraju ilości (w Thomas Coelho np. liczba urodzeń wynosi 5%, a śmiertelność 1%). Potrzeba tylko napływu nieco inteligencyi, aby zwłaszcza w stanie Parana żywioł nasz stał się przeważający nietylko liczebnie, lecz społecznie i politycznie. Pożądani są: nauczyciele ludowi, rękodzielnicy i przemysłowcy, inżenierowie do budowy kolei i kopalń. Kraj nasz mógłby w tych kierunkach zużytkować swe siły, leżące u nas odłogiem, bez najmniejszego uszczerbku dla ogółu.

Prościcki.

Z PODRÓŻY.

(Luźne notatki).

XIV.

6 sierpnia, Chicago, Stock yards.

Jestem jak gdyby wśród istotnego piekła. Parkany i zagrody krzyżują się z sobą i tworzą niby labirynt ulic, zaułków i podwórzy, bydło w nich ryczy przeraźliwie, a niekiedy wściekle uderza o nikłe na pozór, ale w gruncie rzeczy mocne kraty swojej klatki, *cowboye* pędzą konno — na oklep — w różnych kierunkach przez uliczki i gwiżdżąc, porozumiewają się pomiędzy sobą, inni z przekleństwem na ustach uwijają się śród bydła i poskramiają jego walki. Berliński *Viehhof* — to salon w porównaniu z rozpościerającym się przed nami widokiem. A brak tutaj nietylko berlińskiego spokoju i czystości! Giełda na bydło składa się z rozrzuconych bezładnie budynków, a profanowi trudno w niej się połapać — bez żadnej symetryi, bez najmniejszej wystawności. Jak wszędzie, tak i tutaj kapitalista amerykański obywa się bez blichtru. Sądzi on, że wielkie odsetki to alfa i omega wszystkiego i że lepiej w nędznym kantorze zgarniać grube zyski, aniżeli we wspaniałym gmachu — małe. To też parkany i zabudowania ledwie się trzymają, drzewo miejscami jest nadgniłe, a gdy zanadto wypowiada już posłuszeństwo i zagraża ruiną, wtedy łata przychodzi z pomocą i na czas jakiś spaja rozlatujące się części.

Kurz nie do opisania. Mimo że oddawna nie było deszczu, błoto pod nogami. A cóż dopiero dziać się musi, kiedy słota zawiśnie nad targowiskiem!

* * *

Spaceruję po długim pomoście, który trzeszczy pode mną i kołysze się, kiedy wiatr silniej powieje. Przede mną ciągną się bez końca klatki najróżnorodniej połączone wrotami, pomiędzy niemi biegną ślepe uliczki — do wpuszczania bydła. Pomost wisi nad klatkami, tak iż pod sobą mam tysiące bydła; są dnie, kiedy rano znajduje się na targowisku do kilkudziesięciu tysięcy sztuk rogacizny. Druty telefonowe i telegraficzne tworzą w górze niekiedy istną siatkę, a olbrzymie galerye powietrzne przerzynają targowisko we wszystkich kierunkach. Ponieważ na dole panuje ruch ciągły, mają one służyć do pędzenia bydła na targ i do rzeźni bez zamętu. Wszędzie wznoszą się budy, słynące jako *fairbanki* — obrzymie wagi, mieszczące odrazu do stu tysięcy funtów żywego mięsa. Właśnie jedna jest teraz w ruchu. *Cowboye* zawracają całą gromadę rogacizny do takiej budy, a kiedy przestrzeń została zapełnioną, wrota się zatrzaskują i waga oblicza trzodę w funtach. Rzeźnicy-milionerzy nie kupują pojedynczych sztuk, lecz całe stada odrazu.

Widok ten ma w sobie coś osobliwego! A jednak z pomostu oglądam jedynie drobną cząstkę targowiska, nie wiem, czy dziesiątą! *Stock yards* z pobliskiem miasteczkiem rzeźnickiem są jakby olbrzymim żołądkiem, który wysunął mnóstwo przełyków ku zachodowi i południo-zachodowi. Falujące a lesiste okolice Montany i Nevady, płaszczyzny Arizony i Texasu, urocza dolina Misisipi, wszystkie te miejscowości, odległe o półtora i dwa tysiące wiorst, wysyłają do Chicago bydło i trzodę najrozmaitszego gatunku dziesiątkami tysięcy sztuk dziennie. Targowisko jest obliczone na 300 tysięcy rogacizny i trzody chlewnej jednorazowo; ta okoliczność daje najlepsze pojęcie o jego rozmiarach i zarłoczności. A żołądek ów należy do olbrzymiego organizmu wymiennego! Porwane bydło zostaje zamienione na wędliny, konserwy, stosy świeżego mięsa i w takiej postaci biegnie dalej na wschód aż do miast nad Atlantykiem, a nawet przekracza Ocean i wylewa się regularnym potokiem na rynki Anglii. Na odległości tysiąca wiorst i więcej, świeże mięso, napływające z Chicago, zmiażdżyło miejscowy proceder rzeźnicki i stworzyło nową troskę: jeżeli pewnego dnia, z powodu jakichś przeszkód, transport nie dopisze, okolica zostanie narażona na niebezpieczeństwo głodu. Opis zakładu Armoura, jaki otrzymaliśmy na pamiątkę w kantorze, jasno i wyraźnie mówi o tej możliwości, a dana firma zapobiega jej, bo stwarza w różnych miastach spichlerze mięsne!

Z dnia na dzień w porannych godzinach setki wagonów podjeżdżają ku targowisku od zachodu, wioząc w swojem wnętrzu żywe mięso i znacząc swoją drogą magazynami paszy; nad wieczorem setki innych odjeżdżają ku wschodowi i wśród pokładów lodu niosą stosy gotowego mięsa, a po drodze zamiast magazynów paszy spotykają fabryki lodu. Chicago stanowi ośrodek dla obu tych ruchów i szczyci się, że jest największem w świecie miastem wiktualowem. Tak rzeczy stoją dotychczas, ale — ale na dalekim Zachodzie zaczynają ukazywać się współzawodnicy. Bydło przybywa z daleka. Lecz po co ma robić taką drogę? Czyż nie lepiej, gdyby odbywało podróż w postaci przerobów? A zatem w Kanzas-city, w Omaha, powstają takie same żołądki i wzrastają w objętość. Nie mają one dzisiaj takiej mocy, jak Chicago, ale z chwilą, kiedy stepy zamienią się ostatecznie na oborę ulepszonej rasy rogatej, zawierającą w swoim obrębie dziesiątki milionów bydła, naówczas te drugorzędne ogniska nabiorą większej doniosłości, naturalnie, jeśli wśród samych stepów nie wyrosną potężniejsi współzawodnicy. Nowoczesny rozwój posuwa się w szczególnym kierunku. Ześrodkować hodowlę bydła po owczarniach w stepach i jednocześnie skoncentrować tam przemysł rzeźnicki, a zamiast bydła wysyłać mięso do dalekich zakątków, oto dążność nowoczesnego potoku ekonomicznego.

* * *

Wiatr lekki dmie z południa, ale jego nikłej siły wystarczy, aby cały pomost chwiał się od podmuchu. A na skrzydłach wiatru dolatuje coś więcej. Tam, na południu od targowiska, ciągnie się miasto rzeźnickie, *packing town*, złożone jedynie z rzeźni, fabryk przerabiających odpadki mięsne i t. d. O rozmiarach procederu i ludności, która żyje z rzeźnictwa wprost lub ubocznie, da najlepsze pojęcie fakt następujący. Przed trzema laty kilka największych firm zbuntowało się przeciwko spółce akcyjnej, posiadającej targowisko, i zamierzało przenieść swoje zakłady po za miasto. Obliczano, że założona osada rzeźnicka będzie liczyła 150 tysięcy głów! Z pomostu widzimy rzędy budynków, a nad całością tych koszar rzeźnictwa unoszą się tumany dymu. Niedawno stamtąd wyszliśmy. Zwiedzaliśmy sławne zakłady Armoura i s-ki, dające pracę ośmiu tysiącom osób, które wprowadziły do rzemiosła rzeźnickiego wszystkie możliwe ulepszenia w postaci automatów-maszyn. Zakłady te tak przyzwyczaiły się do gości, że posiadają dla nich specyalną poczekalnię, a kiedy zbierze się w niej kilkadziesiąt osób, przewodnik, który tylko co oprowadził jedną partyę, puszcza się na wędrówkę z nową. Umyślne pomosty i galerye oczekują widzów i ze swojej wysokości pozwalają przyjrzeć się robocie. Obrazy, oglądane podczas tej wycieczki, wypływają teraz w umyśle pod tchnieniem południowego wiatru. Przynosi on z sobą wszystkie możliwe wonie, jakiemi oddycha *packing town*, i miesza je z sobą: odory wędliniarni i świeżej krwi, swędy od przypalonej skóry i włosów, smrody zgnilizny i gnojowiska, wszystko to miesza się z sobą, a nadto z pyłem ulicznym i sadzą z kominów. W tym zaś potoku najrozmaitszych woni, gwizdania i przekleństwa *cowboyów*, ryk bydła, czującego śmierć albo rzucającego się rozpaczliwie, galop ludzki na koniach, dalekie: hep! hep! przybierają odmienną fizyognomię. Mam dosyć tego piekła — ale czy nie dokuczyło ono tym cowboyom, którzy tak poskramiają bydło, jakby chcieli wywołać jeszcze większą wściekłość u rozjuszonego zwierzęcia? Nawet przekleństwo w ich ustach oddycha namiętną radością, a rozszerzone nozdrza jakby lubują się tymi zapachami... Targowisko traci w moim umyśle na barwie i mocy, wysuwa się naprzód sprawa innа — istot ludzkich, spędzających życie w jego obrębie.

Jacy ludzie żyją w tym świecie mordu i krwi? Czy są oni takimi, jak reszta śmiertelników? Odpowiadają nam na to świeżo widziane obrazy. Przy wejściu do rzeźni spotkaliśmy człowieka, który sztyletem zabija świnie. Ręka jego systematycznie spadała na ofiary i unosiła się ze sztyletem krwią ociekłym, a w ciągu dnia czyni on to kilka tysięcy razy. Czem jest ten człowiek? Co kilka minut w innym oddziale dziesiątki wołów bywają wpędzane do klatek, w których czeka je śmierć. Oprawcy czatują na pomoście, a uderzają woły młotami po głowie i ogłuszają; jedna ze ścian się otwiera, zwierzęta zostają wyrzucone i od innych katów dostają jeszcze nowe, ostateczne ciosy. Uciekłem. Czy czynność ta jest sprawą wyłącznie przyzwyczajenia? Czy owo targowisko wraz z rzeźniami nie skupia około siebie szczególnych natur krwiożerczych? „Nam wszystko jedno, czy panów czy bydło rznąć" — śpiewa chór rzeźników u Krasińskiego. Czyż dla tych oprawców, którzy od rana do wieczora mają przed sobą widok konwulsyi zwierzęcia, oddychają bezustannie odorem krwi, robota rzeźnicka nie posiada szczególnego powabu i nie jest wyładowaniem chuci okrutnej? Dość rozejrzeć się uważnie, a spostrzegamy twarze, mówiące, że ich właściciele czują się tutaj jak w raju. A nasz *cicerone* dostarcza nowych dowodów, gdy przed nami odsłania tajemnice targowiska. Opowiada on, że atmosfera krwi służy nadzwyczajnie niektórym mieszkańcom rzeźnickiego grodu, że tyją oni niepomiernie i formalnie tęsknią, kiedy wypadnie im na dłuższy przeciąg czasu rozstać się z tym światem mordu! Sądzę, że spostrzegawczy antropolog-psycholog z powodzeniem mógłby usiąść tutaj i z dostrzeżonych objawów ułożyć cenną pracę. Ci gwiżdżący *cowboye*, borykający się z wołami, ci otyli oprawcy, mordujący tysiące istot żywych lub z młotami w ręku ogłuszający dziennie setki wołów, wszak to tak bogata kopalnia typów zawodowych! A nie tylko ludzie, ale i zwierzęta noszą na targowisku Kainowe znamię — zwyrodnienia uczuciowego. „Stary Bill" jest bezwarunkowo takim okazem. Opowiadają o bydlęciu, że instynktownie odgaduje miejsce, gdzie jego współtowarzysz został zamordowany. Otóż obowiązkiem byka Billy jest zagłuszyć ów instynkt i poprowadzić swoich czworonożnych rodaków do miejsca zgonu. Kiedy do przedśmiertnej klatki trzeba pognać nową gromadę ofiar, Billy staje na czele, rykiem uspokaja towarzyszy, a przy wrotach zręcznie usuwa się na bok i dalej prowadzi to samo dzieło zdrady i podejścia. *Business* wyzyskuje te wszystkie instynkty przewrotne, a jego wielcy możnowładcy przyswajają sobie liczne rysy otoczenia.

Woń świeżej krwi, ludzie - potwory i zwierzęta-potwory, tysiące głów ryczącego bydła, pył ze swędem i smrodem, wśród takich obrazów opuszczam targowisko. Tramwaj mnie wiezie w ciągu półgodziny wśród kurzu i niekiedy błota, a ilekroć zaleci podmuch wiatru od targowiska, niesie on z sobą najrozmaitsze odory. Nieraz po całych tygodniach unoszą się one nad całą dzielnicą bezustannie — dzielnicą, zaludnioną przez polaków i litwinów, po większej części pracujących w rzeźnictwie. Amerykanin pogardza tem rzemiosłem i pozostawia je przybyszom, którzy do wszystkiego są gotowi, byleby tylko zarobić na życie.

8 sierpnia, Chicago, wystawa.

Zapoznaję się zwolna z pedagogiką amerykańską. O ile ona dotyczy niższej, elementarnej oświaty, jestem zachwycony zamorskimi zwyczajami. Prawdopodobnie powrócę jeszcze niejednokrotnie do tego przedmiotu, obecnie zaś zatrzymam się jedynie nad lekcyami poglądowemi, jakie odbywają się w Przytułku dla dzieci. Dla dzieci! Ależ tam bywa więcej osób dorosłych, aniżeli małych, a wykłady są prowadzone w ten sposób, że zarówno ośmioletnie dziecko, jak i starzec słucha ich z przyjemnością. Cały bowiem odczyt polega na umiejętnym doborze obrazów, rzucanych na płótno przez przyrząd stereoptyczny.

Jesteśmy na wykładzie o Norwegii. Prelegent ilustruje bezustannie swój odczyt obrazami. Zaczął od gulf-streamu i wyjaśnił, jakie znaczenie dla północno-zachodniej Europy posiada ta morska rzeka, a uzmysłowił je na płótnie, pokazał bowiem widoki will norweskich, obfitość tamtejszej zieloności i bogactwo kwiecia. Klimat, złagodzony przez bliskość rzeki morskiej, sprawił te cuda! Później ukazała się przed naszemi oczami sama Norwegia. Prelegent skreślił jej strukturę, zatrzymał się nad fiordami, opowiedział o znaczeniu dla ludności połowu ryb i żeglugi. Ukazały się przed nami widoki fiordów wraz z krajobrazami sąsiednich gór, wodospadów, oraz sposobami, jak człowiek tam sobie radzi. A zatem ujrzeliśmy mosty, drogi, wioski. W ciągu dalszym zobaczyliśmy życie w różnych zakątkach, dniem i nocą, florę letnią i wygląd zimowy na krańcowej północy, wreszcie wyspy, wiry i skały podwodne, niebezpieczeństwa żeglugi, właściwości sąsiedniego morza i efekty świetlne w różnych porach roku i dnia. Człowiek musiał szukać utrzymania w morzu, a niebezpieczny ten i zdradziecki żywioł hartował jego odwagę. Pokazano nam budowę łodzi dawnych wikingów, opowiedziano o ich wyprawach, na płótno rzucono obrazy obecnych, wątłych okręcików, trudniących się połowem. Później znaleźliśmy się we wnętrzu domów włościańskich, poznaliśmy ubrania itd.

Jak rzekłem, zarówno 8-letnie dziecko, jak i starzec mogą z pożytkiem słuchać wykładu. Godzina czasu zeszła mi z przyjemnością. A takie odczyty odbywają się w Przybytku dla dzieci kilka razy tygodniowo i zawsze odznaczają się taką samą obfitością ilustracyj. Wykład niekiedy pozostawiał do życzenia pod innymi względami. Rozpytywałem, o ile ta metoda wkorzeniła się w życie szkolne. Odpowiedziano mi, że we wszystkich miastach szkoły zaczynają posługiwać się nią, i dodano, że istnieją specyalne firmy, trudniące się produkcyą albumów z kliszami dla podobnych celów.

L. K.

LIBERUM VETO.

Tuz antisemicki. — Tyrania talentu. — Błogosławieństwa i klątwy poetów. — *Pająki* K. Junoszy. — Ludzie bez uczuć, pochłoniętych przez cześć dla rubla. — Szczególny świat i szczególny gatunek zoologiczny. — Rzeczywistość czy fantazya, fikcye czy ludzie. — Obojętność much wobec okrucieństwa pająków.

Wśród współczesnych autorów polskich, wykazujących zgubny wpływ niszczącą działalność żydów, najwybitniejsze stanowisko zajmuje niewątpliwie p. Klemens Junosza. Stanowisko to nadała mu wysoka zdolność powieściopisarska i szczególna wiedza życiowa. Wszelki talent jest najokrutniejszym z tyranów, bo nawet wtedy, gdy ciemięży, krzywdzi, torturuje, zmusza swe ofiary do uznania dla siebie, do którego zwyczajny gnębiciel nie ma ani prawa, ani pretensyi. W rzeszy antisemickiej, jak w każdej innej, widzimy ludzi najrozmaitszej miary moralnej i umysłowej: waryatów, fanatyków, łobuzów, spekulantów, amatorów rozpruwania pierzyn, warchołów z podartem od wrzasku gardłem, estetyków, filozofów i artystów. Gdy jedni budzą odrazę lub wzgardę, drudzy wywołują poważne spory, ostatni są zawsze zwycięzcami. Bo czy żydzi np. przyjmują największy udział w pewnych przestępstwach, czy swym handlem oddziaływają ujemnie na dobrobyt materyalny kraju, czy w swej naturze posiadają złe instynkty, czy ich etyka przeciwstawia się etyce europejskiej — o to można kłócić się, dopóki nie zniknie ostatnie dziecię Izraela. Ale co powiedzieć przeciw autorowi, który w swych powieściach stale przedstawia żydów jako szachrajów? Że nie maluje wiernie rzeczywistości? Naprzód wierne odtworzenie jej nie jest obowiązkiem artysty, a powtóre jakże mu dowiedziemy, że on tych szachrajów w życiu nie widział? Jeżeli zaś posiada talent, daremne są wszelkie protesty i skargi. Wtedy lekceważy on je sobie zupełnie i odpiera bardzo prostym argumentem: stworzyłem mój świat takim, jakim go mieć chciałem; skoro ktoś nie znajdzie w nim upodobania, niech się od niego odwróci i poszuka sobie innego. W ten sposób talent może wywierać najokrutniejszą tyranię nad umysłami i nastrajać je według swojej woli. Nie ważcie się obrażać poety — mówi jeden z nich — bo on was ukarze straszne. Jeżeli rzuci do piekła, nikt was stamtąd nie wyprowadzi, a wasza męka trwać będzie dopóty, dopóki jego panowanie. Arystofanes niesłusznie zbezcześcił Aspazyę, Schiller równie niesłusznie wyi-

dealizował Don Carlosa, czy pierwszą uniewinniły a drugiego strąciły z piedestału badania naukowe? Klątwy i błogosławieństwa poety zdjąć nie można.

P. Kl. Junosza wybrał sobie niemal za specyalność wystawianie do światła żydów i pokazywanie w ich wnętrzu wszystkich organów, nerwów, komórek tej rasy. Jak koń chudy bardziej, niż tłusty, chłop pijany bardziej, niż trzeźwy, chałupa zapadnięta bardziej, niż nowa, pociąga ku sobie malarza, tak też bardziej go nęci żyd prosty, ocechowany wszystkiemi znamionami odmienności, niż ucywilizowany i podobny do innych ludzi. Artysta rodzajowy, realistyczny, zawsze przeniesie jaskrawość w kształcie i barwie, nad umiarkowanie, chociażby dlatego, że kreślenie rysów wydatnych, przesadnych jest łatwiejsze, niż łagodnych. Daleko mniej talentu i trudu wymaga Rinaldini, niż lekarz lub inżenier. Jeżeli malarzowi przedstawimy dwa modele: przystojnego i porządnie ubranego młodzieńca oraz brudnego i szkaradnego żyda — z pewnością wybierze ostatniego. Nos garbaty, broda zwichrzona, pejsy, jarmułka, czapka z podniesionem denkiem, chałat, zwłaszcza podarty i obłocony — to rozkosz dla malarza, który w każdym szczególe ma jakiś rys charakterystyczny. Jeszcze większa rozkosz dla powieściopisarza, który obok garbatego nosa, pejsów, chałata, wogóle wyglądu zewnętrznego, znajduje odmienny a dziwaczny język, odmienny bieg myśli, odmienne obyczaje. Już więc z samych względów artystycznych żyd surowy, azyatycko-afrykański, jest nadzwyczaj ponętnym przedmiotem dla wielu malarzów i powieściopisarzów. Że go sobie upodobał między innymi także p. K. Junosza — nic dziwnego. Niezwyczajnym jest tylko talent tego autora w tworzeniu organizacyi psychicznej pewnego typu — żyda szachraja, wyzyskiwacza, pijawki lichwiarskiej, krwiożerczego pasorzyta na pracy ludzkiej. Dowody tej zdolności złożył on w wielu powieściach, ale najwymowniejszy w ostatniej p. t. *Pająki*. Jak łatwo się domyśleć, „pająkami" jest gromada lichwiarzów, osnuwających swojemi sieciami biedną muchę — skromnego urzędniczka, który pożyczywszy niewielką sumkę, szybko znalazł się pod ciężarem olbrzymiego długu i wytężoną pracą całego życia nie mógł go zwalić. Żyd, jako bohater powieści, ma dla autora jeszcze tę nieocenioną wartość, że prawie zupełnie uwalnia go od t. zw. bajki i pozwala mu poprzestać na związaniu pasma szachrajstw i wyzyskiwań. Osnowa też *Pająków* nie jest żadną kunsztowną tkanką i powtarzać jej nie będę, tem więcej, że o co innego mi tu chodzi. „W całej przyrodzie — mówi p. J. — w świecie znanym nam i widomym, na ziemi i w wodzie, w świecie roślinnym i zwierzęcym są stworzenia, które opierają swą istność na życiu innych." Do tych stworzeń należą żydzi, a zwłaszcza lichwiarze, a zwłaszcza Hapergeldowie. Rodzina ta tworzyła liczne ramiona jednego polipa lichwy, której duch ożywiał wszystkie jej członki. Codzień wieczorem ojciec opowiadał swym dzieciom „niezmiernie ciekawe szczegóły o licytacyach: jak żona i córki człowieka, którego rzeczy komornik na rzecz p. Hapergelda sprzedawał, płakały, jak handlarze się śmieli, jak zrobili zmowę i kupili wszystko za bezcen. Synowie słuchali tego wykładu z wielką uwagą, prawie „z namaszczeniem." Gdy swat stręczy Hapergeldowi jako synowę córkę drugiego lichwiarza, pierwszy zaważa: „Mnie się zdaje, że on w kryminale siedział?— Cokolwiek—odpowiada swat— ale bardzo mało, tak jak nic; nieszczęście każdemu może się przytrafić. On handlował koronkami, sprowadzał z zagranicy... To trudno, my jesteśmy prześladowany naród, my cierpimy." Małżeństwo dochodzi do skutku. Nowożeńcom dziadzio Gancpomader, lichwiarz emeryt, doświadczony doradca, daje w podarku spisany kodeks postępowania. Jeżeli będziesz miał dać dłużnikowi np. 222 rs. — uczy on — nie zaszkodzi, gdy w twoim pugilaresie znajdzie się tylko 219. Gdyby zaś napierał o resztę, wyjmij z kamizelki trochę drobnych. „Wierz mi, dziecko, jest to najlepsza sposobność puszczenia w kurs ołowianego bilonu z fałszywych dziesiątek... Jeżeliby by weksel został przy sobie, to nie masz go zniszczyć, ale dobrze zachować... Najmniejszy papierek czasami się przyda..." Trzech spólników pożyczyło pewnemu kawalerowi grubszą sumę, którą im oddał, ale wekslu nie wycofał. Jeden ze spólników w parę lat potem umarł, drugi zaś znalazłszy u siebie ów zapłacony weksel, odebrał pieniądze powtórnie, podzielił je na trzy części, nie wyłączywszy dzieci nieboszczyka. „Sobie policzył tylko za dwa kursa omnibusu... Oto uczciwość, oto człowiek, który chodzi drogą sprawiedliwych... Szanuj klienta — kończy dziadzio — który ma ambicyę, bo ambicya dużo znaczy, można z niej czerpać, jak ze studni. Jak dostaniesz do rąk dobrego człowieka, to go nie puść; dobry dłużnik znaczy więcej, niż cztery konie... Jeśli dłużnik ci umrze, nie potrzebujesz siedzieć po nim na pokucie, to, co pozostał ci winnym, rozłóż na innych." Ponieważ wnuczek zbyt dusi swoją ofiarę, więc dziadzio daje taką przestrogę: „Ty pracujesz w swoim fachu jak kowal, w twojej robocie nie ma zgrabności... Ty powinieneś być jubiler... On (dłużnik) nie myślał wcale o szwindlach, ani o chwilowej uldze, bo ma ambicyę, i dlatego ty Lejbuś powinieneś go szanować." To znaczy: „dziadzio znał wartość dobrej krowy i chciał jak najdłużej dla swych wnuków zachować." Ow Lejbuś, będąc narzeczonym panny Lufterman, poszedł z nią i jej rodzicami na przechadzkę do Łazienek. Gdy wracali, przyszła teściowa rzekła: „— Kawaler może zafundować tramwaj. Lejbuś udał, że nie słyszy i wziął się z wielką energią do gryzienia orzechów. — Kawaler może zafundować tramwaj, powtórzyła głosem podniesionym. Czy kawaler potrzebuje być głuchy? Papa Lufterman roześmiał się. — Na moje sumienie — rzekł — to jest złoty chłopiec; im bliżej go poznaję, tem więcej widzę w nim szacownych zalet. On się nie wyrwie z niepotrzebnym wydatkiem, a gdy potrzeba, ma feler na ucho. Ja go za to bardzo szanuję. — Masz racyę mężu, sama widzę, że on jest dowcipny i zna się na rzeczy. ' Teść Lufterman w przystępie hojnej czułości dla swego przyszłego zięcia, spacerując z nim, „darowywa" mu kilku spotkanych ludzi, którzy są jego dłużnikami, to jest pozwala mu wysysać ich dalej. Ludzie ci z sercem zamkniętem dla wszelkich uczuć prócz żądzy zysku są nietylko okrutni dla obcych, ale i dla siebie. Żona nie jest wspólniczką męża w lichwiarstwie, ale samodzielnym „pająkiem" i wydziera mu dla siebie muchy, które on już oplątał. Ojciec odbierze łup dzieciom, dzieci — rodzicom, nie ma tu żadnego przywiązania, sympatyi, nawet zwyczajnej słabości, jest tylko bezpamiętne zapatrzenie się w ruble. Ten bóg sparaliżował w nich wszystkie inne uczucia, prócz czci dla siebie. W zajadłej walce o byt porwały się nawet te nici, jakie łączą między sobą zwierzęta. W najpodlejszych i najbardziej zwyrodniałych odmianach ludzkich, śród złodziejów, morderców, oszustów, znaleźć można jeszcze więcej altruizmu, niż śród tych istot. Najgorszy rabuś, najnikczemniejszy złoczyńca ma jeszcze jakąś kochankę, matkę, dziecko, kogoś, kto włada jego sercem. „Pająk" lichwiarski nie ma nikogo, prócz siebie. Trzebaby zejść po drabinie zoologicznej bardzo nisko, ażeby znaleźć dla niego podobieństwo, w każdym razie trzebaby przekroczyć granicę jakiejkolwiek, najpierwotniejszej organizacyi społecznej. Nie dość tego. Zbrodniarz zwykle nie uważa swych czynów za prawidłowe i moralne, uczuwa nieraz wyrzuty sumienia i drży na widok swej ofiary. „Pająk" lichwiarski nie uznaje żadnej sromoty lub niemoralności w swych działaniach, przeciwnie nazywa je „pięknym fachem," podkłada pod nie grunt osobnej etyki, objawia dumę, oburza się na muchę, która usiłuje rozerwać jego sieci i wymknąć się z nich, słowem, ma zupełną świadomość swych pobudek, celów i robót oraz całkowite dla nich uznanie moralne.

Takim on jest w powieści p. Junoszy i innych tego rodzaju.

Czy takim jest w życiu? Czy rzeczywiście istnieją po za światem choroby i wynaturzenia ludzie wyzuci z wszelkich uczuć, popełniający świadomie i bezkarnie ciężkie zbrodnie, nadający tym zbrodniom charakter czynów moralnych i uprawnionych, żywiący się wyłącznie cudzą krzywdą i wyzyskiem cudzej pracy, rewolucyoniści spiskujący przeciw moralności, dobru i szczęściu ogólnemu? Czy rzeczywiście stosunki nasze są omotane przędzą „pająków" Junoszy? Nie znam ich, nie widziałem, więc odpowiedzieć nie umiem. Sądzę jednak, że jeśli tacy ludzie i to dość liczni prawdziwie istnieją; jeżeli Hapergeldy, Luftermany, Gancpomadery nie są fikcyami powieściopisarskiemi, lecz fotografiami potworów żywych, to nie pojmujemy społeczeństwa, które o żadnych środkach zaradczych nie myśli. Wygląda ono bowiem tak, jak gdyby słuchając opowiadań o Skublińskiej, Brzezickiej, mordercach, truciciełach, rabusiach pokładało się od śmiechu, wołając: jakież to pyszne postacie!

Poseł Prawdy.

SPRAWY EKONOMICZNE

WALKA Z CIEMNOŚCIAMI.

Patrząc w daleką przyszłość, nie możemy sobie inaczej wyobrazić produkcyi rolnej, jak z dymiącymi kominami, szeregiem machin parowych, działających zarówno w fabrykach, jak i na polach, śród których nazwa *nieużytki* zniknie na zawsze. Oficyalista rolny nie będzie, jak dzisiaj, najbardziej niepewnym jutra pracownikiem, a właściciel ziemski zbiedzonym przedsiębiorcą, któremu ze wszech stron grozi bankructwo. Przemysł rolny w przyszłości — to olbrzymi odłam ogólnej produkcyi, pchanej naprzód zrzeszonemi siłami; to rozległe obszary, usiane mrowiem fabryk, tartaków, młynów parowych, to praca nietylko wytwórcza, ale zarazem i przetwórcza, ożywiona przez armię pracowników, związanych wspólnymi interesami. Rozumie się na tak wysokie szczeble nie dźwigną rolnictwa dzisiejsi jego przedstawiciele, bądź zachwiani i upadający, bądź marnujący swe siły i środki w odosobnionej pracy. Przyglądając się wszakże obecnym warunkom, nie możemy pominąć milczeniem ciekawego zjawiska, które poniekąd jest krokiem na drodze ku nowej formie produkcyi rolnej. Coraz wyraźniejszą spostrzegamy dążność do pracy zbiorowej, coraz większe rozszerzanie produkcyi przetwórczej. Jakkolwiek rolnictwo pozostaje jeszcze na usługach innych wyodrębnionych gałęzi przemysłu, jak np. cukrownictwa, jednakże rozszerza się ono w zakresie samodzielnej działalności fabrycznej.

Wymownym przykładem w tym względzie jest gorzelnictwo. Jeszcze przed laty kilkunastu była to gałąź fabrykacyi, licho prowadzonej, według tradycyjnych wskazówek, ściśle wykonywanych przez ciemnych rutynistów. Jak zwykle, szybkie po-

stępy na tej drodze zrobiono za granicą, szczególnie w Niemczech. Zrozumiano tam wybornie, że jedynie nauka może być najpotężniejszą dźwignią w rozwoju gorzelnictwa. To też powstały liczne szkoły fachowe, a chemia zastosowana w praktyce przez wytrawnych specyalistów, oddała nieocenione usługi. Istnieje bogata literatura książkowa i dziennikarska, której zadaniem jest chwytanie w lot wszelkich wyników prób i dociekań, udzielanie pożytecznych rad i wskazówek wszystkim na tej niwie pracownikom. Wszechwładna obecnie bakteryologia oddaje również i gorzelnictwu nieocenione usługi; próby w tej mierze dopiero od lat kilku są czynione, a ich wyniki, jakkolwiek dotąd dość jeszcze skromne, pozwalają przypuszczać, że bliższe zapoznanie się z drobnoustrojami drożdżowymi za pomocą mikroskopu stworzą najświetniejszy okres w rozwoju gorzelnictwa.

U nas postępy w tej dziedzinie dadzą się oznaczyć nie jakościowo, lecz ilościowo. W ostatnich latach liczba gorzelni i rozmiary ich wytwórczości znacznie wzrosły, ale jednocześnie urządzanie tych fabryk według najnowszych wymagań techniki idzie dość opieszale, a kierownicy z gruntowną wiedzą specyalną stanowią zaledwie nieznaczną cząstkę ogółu gorzelanych i ci nieliczni wiedzę swą zawdzięczają bądź samouctwu, bądź szkołom zagranicznym. O utworzeniu odpowiedniego zakładu naukowego w Warszawie radzą u nas od lat paru, ale pomimo obliczonego już kosztorysu i silnie odczuwanej potrzeby takiej szkoły, dotąd nawet w przybliżeniu trudno oznaczyć termin jej powstania. Literatura specyalna prawie nie istnieje.

Nie można wszakże powiedzieć, ażeby się w Rosyi nic nie robiło na drodze racyonalnego rozwoju gorzelnictwa. Weźmy za przykład ruch od paru lat rozbudzony w gub. podolskiej. R. 1891 w lipcu powstało tam zatwierdzone przez ministeryum przedsiębiorstwo, na którego czele stanęło trzech specyalistów: pp. Czesław Pietkiewicz, Franciszek Turkowski (gorzelnicy) i Ginsburg (chemik). Zadaniem ich było kierownictwo techniczne fabrykacyi spirytusu według najnowszych i racyonalnych metod, za pewne stałe wynagrodzenie ze strony właścicieli gorzelni lub za procenty, liczone od czystego zysku albo wedle normy, oznaczonej przez akcyzę. Kierownictwo to polegało na odwiedzaniu w pewnych odstępach czasu każdej gorzelni i dawaniu wskazówek gorzelnikom, wyznaczonym przez powyższe osoby do wytwarzania okowity. Wreszcie w zakres działalności owych specyalistów-instruktorów wchodziło ściśle kontrolowanie i badanie procesu fabrykacyi, szczególnie zaś wyrobu drożdży i słodu. (Wytwarzanie tych produktów utrudniało pierwotne urządzenie gorzelni, gdzie utrzymanie wymaganej czystości czasami bywa niemożebne). Dla hodowli czystej kultury drożdży, spólnicy założyli w Płoskirowie laboratoryum, które jednocześnie służyło do wszelkich analiz. Aby dać pojęcie, jakie ma znaczenie tego rodzaju laboratoryum dla gorzelnictwa, rzućmy okiem, chociaż pobieżnie, na najnowszy sposób wytwarzania drożdży. Profesorowie Hansen i Jürgensen w zwyczajnych gorzelniczych drożdżach (*sacharomycetes ceravisiae*) znaleźli kilkadziesiąt ras grzybków drożdżowych, z których jedna lub parę naraz odmian przy pomocy aparatu Hansena przed kilku laty dały się z pomyślnym rezultatem zastosować do piwowarstwa w browarach. W gorzelnictwie nie były one wówczas jeszcze używane, a nawet znany w świecie naukowym Maercker przed trzema laty w swoim podręczniku nie wiele o tem mówił i tylko od roku pracuje nad wynalezieniem rasy najodpowiedniejszej dla gorzelnictwa. Będzie to największa zdobycz, która pchnie ów odłam produkcyi na nowe tory. Zanim wszakże to nastąpi, kultura czystych drożdży, próbowanie, chociaż na oślep, tej lub innej rasy drożdży daje już widoczne rezultaty i znacznie zwiększa wydajność spirytusu. Na takich właśnie podstawach wzmiankowani powyżej specyaliści rozwinęli swą działalność w gub. podolskiej i usiłowali na początek w 13-tu gorzelniach ulepszyć produkcyę za pomocą mikroskopu, kolbki pasteurowskiej i udoskonaleń technicznych. Ten nowy ruch zapowiadał się świetnie, tu i owdzie zwiększyła się wydajność, czem zachęcona szlachta, zrazu wielce była rada temu podmuchowi nauki w przemyśle gorzelniczym, niektórzy zaś z właścicieli ziemskich przyrzekli nawet jednorazową pomoc pieniężną inicyatorom na utrzymanie laboratoryum, z warunkiem umorzenia zasiłku w ciągu lat kilku. Zapał atoli prędko ostygł, ziemianie się oswoili z wielką wydajnością spirytusu i zażądali jaknajśpieszniejszego zastosowania drożdży czystej kultury. Mozolne próby i badania wydały się im podejrzanemi, więc umysł szlachecki, skłonny do rutyny, przechylił się na stronę podszeptów ciemnych gorzelanych, którzy obiecywali „bez żadnych tam sztuczek i rurek" zwiększyć wydajność. Przedstawiciele więc racyonalnej produkcyi znaleźli się naraz wobec najniebezpieczniejszej i najbrutalniejszej siły: — ciemnoty, której potęga jeszcze bardziej się zwiększyła przy braku środków materyalnych jej przeciwników. Do tego się przyłączyły inne znamienne cechy właścicieli gorzelni: niechęć do wszelkich ulepszeń technicznych, chociażby niezbyt kosztownych i w końcu właściwa wszelkim przedsiębiorcom — łatwość ulegania pokusie przy zaofiarowaniu taniej pracy. Posiadacze ziemscy, zazwyczaj niezbyt mocni w rachunkach, chętnie zatrzymali tych gorzelanych rutynistów, którzy im przedstawili najniższe wymagania. Kierownicy więc laboratoryum i urządzeń technicznych, mając tyle do zwalczenia trudności: nieufność przeważnej liczby właścicieli i ogółu postronnego, intrygi gorzelanych, których sami sprowadzili i na każdym kroku skostniałą zachowawczość, a wreszcie, co najwazniejsza — brak kapitału, musieli uledz i po roku borykania się zwinąć swe przedsięwzięcie. Działalność ich wszakże w wielu miejscach wywarła wpływ dodatni: jedni właściciele, bardziej skłonni do nowości, wprowadzili ważne ulepszenia w swych gorzelniach, inni z gruntu je przerobili. Tu i owdzie daje się słyszeć po nieczasie żal, ża wiele obiecujący podmuch nauki w życiu przemysłowem został w zarodku stłumiony. Za lat kilka, gdy przemysłowcy zagraniczni hołdujący nauce, zaprzężonej w jarzmo przemysłu, zaleją wszystkie rynki swym wybornym tanio wytworzonym spirytusem, przypomnimy sobie z chlubą, że „u nas były już wcześniej czynione próby w tej mierze." Gdy będzie już zbyt trudna walka z produktem obcym, właściciele gorzelni zrozumieją, że labaratorya do czystej kultury drożdży i wogóle organizacya instruktorów-gorzelników, złożona z ludzi fachowo wykształconych — to najlepszy sposób spotęgowania i utrwalenia na silnych podstawach gorzelnictwa, a zatem i poprawienia gospodarki rolnej. *Drog.*

VIII ZJAZD LEŚNY.

Kijów, we wrześniu.

II.

Instytucye ziemskie wogóle wykazały powną zabiegliwość i nawet samodzielność w sprawie przeciwdziałania rozwojowi piasków lotnych i wyżłobień w gruntach. Z licznego szeregu środków, mających charakter doraźny, tymczasowy, zasługują na uwagę zabiegi gubernialnego ziemstwa czernihowskiego, które poniekąd mogą być wzorem dla innych stron, potrzebujących zwalczenia klęsk powyższych. W marcu r. b. rzeczona instytucya rozesłała do właścicieli ziemskich i innych osób kwestyonaryusz następujący: 1) Nazwa posiadłości, wsi lub folwarku, gdzie się piaski lotne znajdują. 2) Nazwa „uroczyska." 3) Wyszczególnienie pobliskich miejsc zamieszkałych wraz z wykazaniem odległości piasków i ich położenia względem danej okolicy. 4) W przybliżeniu wymiar przestrzeni, zajętej przez piaski. 5) Wymienienie miejsc z rodzajem użytkowania, jako to: pola orne, las, łąki otoczone piaskami. 6) Czy dawno piaski zaczęły się rozpływać? 7) Ile przestrzeni (łąk, roli i lasów) w ostatnich latach uległo zasypaniu? 8) Jaki jest kierunek wędrówki piasków? 9) Do kogo należy przestrzeń zasypana? Materyały zebrane na powyższe pytania miały posłużyć do ułatwienia walki. Oprócz tej czynności wstępnej, ziemstwo czernihowskie niedawno postanowiło przedsięwziąć jeszcze następujące kroki. Starać się, ażeby rząd uznał za konieczne i obowiązkowe zasadzenie wierzbą czerwoną pewnej przestrzeni piasków; wyjednać u ministeryum dóbr państwa bezpłatne udzielanie sadzonek owej rośliny ze szkółek skarbowych tym właścicielom ziemskim, którzy okażą chęć zasiania pewnych przestrzeni piaszczystych; wydawać pożyczki bezprocentowe na zadrzewienie takich przestrzeni i nagrody (po 4—5 latach) po 3 rs. od dziesięciny za obsianie wierzbą czerwoną. W tym celu należy asygnować w roku bieżącym na każdy powiat po 1,000 rs., czyli ogółem na gubernię 15,000 rs. Nadto ziemstwo powyższe postanowiło nabyć na własny rachunek około 1,000 dziesięcin piasków w różnych miejscach gubernii i zasiać je wierzbą czerwoną dla zachęty ludności miejscowej.

Wogóle w ostatnich latach przeciwdziałanie szerzeniu się piasków lotnych i wyżłobień stało się sprawą palącą; mnóstwo obmyślano projektów i środków, a nawet w Jekaterynosławiu powstało w r. 1892 „Towarzystwo dla współdziałania w zadrzewianiu stepów." Ma ono na myśli polepszenie warunków rolnictwa. Zasługuje na uwagę złożony r. z. w ministeryum dóbr państwa projekt utylizacyi i zadrzewienia piasków rządowych nad Dnieprem. Z ogólnej liczby 12,000 dziesięcin należy naprzód oddzielić 3,000, pociąć na działki po 35—50 dziesięcin i następnie oddać je w dzierżawę nie mniej niż na 24 lata, najpierw wszystkim, którzy tylko wyjawią chęć po temu, później zaś wyłącznie bezrolnym mieszkańcom danej miejscowości, z warunkiem, ażeby owi dzierżawcy zadrzewili to martwe przestrzenie, stworzyli tam winnice i ogrody. (Pług i bydło ziemi tej tknąć nie mogą). W ciągu pierwszych sześciu lat dzierżawcy mają być zupełnie wolni od płacenia tenuty; w następnem sześcioleciu umowa oznacza opłatę, wzrastającą dwukrotnie w ostatnich dwunastu latach.

Czyniono w tej mierze różne starania. Tak np. r. 1890 VIII wszechruski zjazd przyrodników w Petersburgu postanowił prosić ministeryum dóbr państwa o należyte rozpatrzenie i zbadanie sprawy zadrzewienia wszelkich wyżłobień i gospodarki w nich pługa w stosunku do niezbędnej dla rolnictwa wilgoci. Oprócz więc przedsięwzięcia środków czysto technicznych, chodzi także o naukowe traktowanie rzeczy.

W roku zeszłym przy departamencie leśnictwa odbyły się osobne narady w sprawie zarządzenia robót około zadrzewiania i zaopatrzenia danych miejscowości w wodę. Otóż uznano za konieczne natychmiastowe rozpoczęcie nastepujących robót: 1) Wzmocnienie wyżłobień i dolin za po-

mocą żywopłotów, plecionek z chrustu, zadrzewianie brzegów wzniesionych, wreszcie zabronienie zaorywań skłonów spadzistych. 2) Urządzenie żywopłotów i ścian leśnych w stepach otwartych, dla zatrzymania śniegów i racyonalnego zużytkowania wód jesiennych i wiosennych. 3) W naturalnych jarach i dolinach urządzenie sztucznych zbiorników wody za pomocą odpowiedniego zatrzymania opadów atmosferycznych i strumieni z roztopów śnieżnych. Miejsca takie powinny być otoczone drzewami. 4) Zadrzewienie pobrzeży rzek dla ochrony koryta od zamulenia a brzegów od osuwania się. 5) Sztuczne zadrzewienie piasków, wyniosłości i wogóle nieużytków dla powstrzymania rozwoju piasków, tudzież dla uchylenia szkodliwego wpływu wiatrów, zwiększenia wilgoci w gruncie i powietrzu. Pod przewodnictwem profesora Dokuczajewa utworzono osobną ekspedycyę, która obliczywszy swą działalność na lat pięć, obrała do robót doświadczalnych trzy miejscowości w okolicach Wołgi, Donu, Dońca i Dniepru. W roku zeszłym zebrała już sporo danych w zakresie charakteru gruntów i ich warunków geologicznych, przesycenia wodą itd. Dla czynienia porównawczych spostrzeżeń meteorologicznych pobudowano szereg stacyj w stepach otwartych i miejscowościach lesistych. Doświadczenia te i próby, skrzętnie czynione, będą nieocenionym materyałem dla zorganizowania racyonalnych i skutecznych robót. Znamiennym faktem, dowodzącym uświadomienia śród ludu potrzeby podniesienia bogactw wodnych, były przedsięwzięte w roku zeszłym roboty publiczne w guberniach dotkniętych nieurodzajem (za staraniem gen. Annienkowa). Zdarzały się wypadki ofiarowywania przez włościan pracy darmo, z warunkiem udzielania im wskazówek przez inżenierów. Widzimy więc, że teoretyczny i praktyczny ruch w tym zakresie dowodzi, jak dalece sprawa jest żywotna i niecierpiąca zwłoki. To wszakże, co dotąd uczyniono, jest prawie niedostrzegalną kropelką w morzu piasków rozszerzających się coraz bardziej i niezliczonem mnóstwie wyżłobień, niszczących pola orne. Wszelkie atoli wyszczególniane próby i plany w tej mierze dowodzą, że umiejętna walka z wrogiem niszczącym roślinność i wilgoć, jest możebną. Ale do tego potrzebne są nie pojedyncze usiłowania właścicieli ziemskich lub instytucyj, lecz systematyczna działalność państwa wraz z zrzeszonemi siłami ogółu zainteresowanego. Na to właśnie i p. Kern nacisk silny położył. Do zadań państwa powinno należeć zwierzchnie kierownictwo, dostarczanie fachowców i łatwego kredytu, drogą prawną wkładanie na mieszkańców obowiązku czuwania nad powstrzymywaniem piasków, tam, gdzie się do tego sami poczuwać nie będą. Wreszcie koniecznem byłoby wywłaszczanie zmartwiałych pod działaniem piasku gruntów tam, gdzie się okaże niechęć ludności. Pierwszą rzeczą powinno być przeprowadzenie dla zachęty takich robót na gruntach rządowych. Rozumie się, pośpiech jest tu ważnym warunkiem, bo każdy rok zaniedbania sprawy wyrządza na miliony szkody i niezmiernie utrudnia przeciwdziałanie. Próżne atoli byłoby łudzenie się myślą, że przy energicznych krokach zło można bardzo prędko usunąć. Najracyonalniej i w najszerszych granicach rozwinięte działanie musi być rozłożone na długie dziesiątki lat. Pobudzenie do życia olbrzymich obszarów ziemi będzie pracą zrobioną nie dla nas, lecz dla przyszłych pokoleń. Siła rozwielmożnionych piasków lotnych jest tak wielka, że walka z nią poparta nawet wielkimi środkami, będzie robotą mrówczą, powolną, wytężaną najpierw dla powstrzymania rozwoju, potem dla opanowania fal piaszczystych. Taka sama metoda musi być zastosowana względem wszelkich wyżłobień i rozpadlin w miejscach ogołoconych. Rzecz prosta, iż jednym ze skutecznych środków walki powinno być jaknajstaranniejsze pielęgnowanie tych resztek lasów, które ocalały i to przedewszystkiem na gruntach lekkich, piaszczystych. To więc, co rabunek i chciwość ludzka zniszczyły w ciągu pół wieku, nie da się zupełnie odbudować nawet przez całkowite stulecie. Dla większości ogółu myśl ta, wynikająca z natury egoistycznej, może być czynnikiem zniechęcającym.

Znany jest fakt, iż wielu ziemian nie zakłada u siebie ogrodów owocowych dla tego jedynie, iż trzeba na rezultaty pracy czekać lat kilka lub kilkanaście. Cóż mówić o usuwaniu piasków lotnych! Dla tego to w wielu wypadkach konieczny będzie wpływ i nacisk organizacyi prawno-administracyjnej, która napotka wiele przeszkód trudnych do zwalczenia.

Na ostatnim zjeździe leśników w Kijowie zwrócono uwagę na to, iż w prowincyach południowo-zachodnich główną przeszkodą są serwituty. Dopóki one nie będą całkowicie uregulowane, nie podobna myśleć o żadnych robotach w tej mierze. Uczestniczący na niniejszym zjeździe p. minister rolnictwa i dóbr państwa, Jermołow, zwrócił uwagę na konieczność współdziałania osób prywatnych (głównie obywatelów ziemskich) w walce ze smutnym rezultatem wyniszczenia lasów i zacytował znamienny przykład uporu niektórych ziemian, gdy chodziło o pomoc w sprawie skanalizowania błot poleskich. Naszem zdaniem, udział przedstawicieli rolnictwa powinien się zaznaczyć nie pracą pojedynczą, lecz wystąpieniem zbiorowem pewnej grupy obywateli tam, gdzie ujarzmienie piasków lub wyżłobień jest wspólnym interesem na danej przestrzeni. Takie zbiorowe działanie pozyska najgorliwsze poparcie rządu. Nie wiemy, z jakiego żywiołu społecznego złożone jest jekaterynosławskie Towarzystwo zadrzewiania stepów, nie wiemy również, jakie są owoce jego pracy. Jest to wszakże dotychczas jedna z najracyonalniejszych w czyn przyobleczonych form działania w tej mierze. Tak samo powinny wszędzie powstać spółki obywateli ziemskich, poparte kredytem i wszelkiemi ułatwieniami ze strony rządu.

Rezultaty w tym przedmiocie zjazdu kijowskiego podajemy w streszczeniu: Dane o rozmiarach piasków lotnych i wyżłobień, zgromadzone przez ministeryum dóbr państwa i ziemstwa, uznano na teraz za dostateczne, tak iż obecnie można już przystąpić do robót. Nie idzie zatem, ażeby zaniechać dalszych poszukiwań w tym zakresie. Przedewszystkiem należy zatrzymać rozwój piasków za pomocą środków prawnie obowiązujących. Przeciwdziałać powinny: rząd, ziemstwa, gromady wiejskie i szlachta. Rząd powinien przyjąć na się kierownictwo i nadzór nad robotami, dawać w pewnych razach zapomogi pieniężne. Skarb ma służyć przykładem w prowadzeniu robót. Uznano za rzecz konieczną natychmiastowe wydanie przepisów prawnych ogólnie obowiązujących, na mocy których nie wolno orać, paść i przepędzać bydła tudzież korzystać z przywilejów serwitutowych na przestrzeniach, gdzie panują piaski lotne. (Komitet opiekujacy się lasem może w pewnych razach czynić wyjątki). Co do wgłębień — należy obowiązkowo wzmacniać ich wierzchołki, wyrwy i kanały rozmyte przez wodę. Upoważnić stosowną władzę administracyjną do zabraniania orki tudzież paszenia bydła w powyższych miejscach, w razie udowodnienia, że to działa szkodliwie. Ubóstwo danych o walce z wgłębieniami skłania do zasięgnięcia wiadomości od ziemstw i generałów Annienkowa i Żylinskiego co do sposobów przez nich praktykowanych. Nadzór nad urwiskami, wyżłobieniami i piaskami lotnymi, sztucznie wzmacnianymi, należy poruczyć osobnym specyalistom i na nich także włożyć obowiązek udzielania rad i wskazówek rolnikom tudzież całym grupom ludzi zainteresowanych. Wreszcie położono nacisk na to, ażeby nadzór nad lasami prywatnymi poruczyć oddzielnemu personelowi techników, którzy pod swoją władzą mieliby odpowiednią służbę. Powyższe uchwały stanowią najdonioślejszy owoc narad, odbytych na zjeździe ostatnim.

W dalszym ciągu rozbierano kwestyę zatosowania w przemyśle mniej cennych gatunków drzew, niż używane obecnie. Drogi żelazne zużywają rocznie około 30,000 dz. lasu budulcowego, głównie sosen i dębów. Tak szeroka trzebież piękniejszych gatunków drzew jest wielce niepożądaną, tem bardziej, że prawidłowa kultura mniej cennych, dotychczas niestosowanych, może dać nawet znaczną oszczędność wydatków. Zjazd przyjął wniosek do wiadomości. W szeregu innych spraw wzniecił gorące spory pogląd jednego z uczestników na oddziaływanie cukrownictwa na gospodarkę leśną. Według sprawozdawcy, p. Syroczyńskiego, przemysł ten, podnosząc cenę drzewa, musiał wywołać większą wydajność gospodarstwa leśnego, zmniejszenie się zaś przestrzeni lasów nie można przypisywać wpływom cukrowni. Na taki wniosek nie mogli się zgodzić inni. Zdaniem wielu, cukrowni w żadnym razie nie można uważać za dobroczyńców gospodarki leśnej. W ciągu ostatnich 10—15 lat gospodarka ta zwiększyła swoją wydajność wskutek zwyżki cen na drzewo. Zwyżka jednak nastąpiła dopiero wskutek wyczerpywania się obszarów leśnych. Cukrownie powstają zwykle na gruntach żyznych, posiadających w pobliżu las. Po wycięciu jego następuje bardzo często karczunek, gdyż grunt pszeniczny zasiany zbożem, daje większe dochody, niż rosnący na nim las. Zmniejszenie się jego obszaru na gruntach żyznych nie wywołało zbyt wielkiej podwyżki ceny, wobec dowozu drzewa z więcej lesnych miejscowości. Nadto wielu właścicieli ziemskich pragnie mieć dochód z ziemi natychmiast i nie może czekać kilkadziesiąt lat, zanim las urośnie. Cukrownie, na równi z innemi gałęziami przemysłu, przyczyniły się do znacznego uszczuplenia lasów. Zjazdy leśne są wyrazem poczucia strat, wynikających z systemu gospodarki rabunkowej i z tego powodu posiadają doniosłe znaczenie. Następstwa niszczenia lasów spadają na całą ludność i dla tego nie można sprawy tej rzucić na pastwę rozbrykanego przywileju własności.

Zen. Piet.

PRZEMYSŁ, HANDEL I FINANSE.

Wystawa rolnicza w Wilnie. Jak zwykle, pierwsze miejsce na wystawie zajmują konie „pół-krwi“ arabskiej, wogóle cugowe i wierzchowce rasowe, dowodzące, że arystokracya pod tym względem przedstawia czoło w gospodarce wiejskiej. To też najlepsze nagrody pobrali wybitni hodowcy. Konie włościańskie zajęły poślednie miejsce, udzielone zaś im nagrody mają raczej znaczenie zachęty, nie uznania. Natomiast w dziale włościańskim obficie dostarczone samodziały świadczą, że w guberniach litewskich lud jeszcze się nie zetknął z kulturą wielkiego przemysłu tkackiego, że tam tanie i gustowne wyroby fabryczne jeszcze się nie wdarły. Z gub. kowieńskiej (pow. rosieńskiego, telszewskiego i wiłkomirskiego) wystawiono tkaniny, sukna wełniane, płótna grube workowe i cienkie (na bieliznę, serwety, ręczniki itd.), kilimki i in. Materyału surowego dostarczyły owce własnej hodowli i len przez lud uprawiany. Powiat rosieński reprezentowało

aż 45 wystawczyń, popartych przez właścicieli ziemskich. Wogóle znamienne jest zachęcanie włościan przez szlachtę do tego rodzaju pracy. Między innymi wielką zasługę w tym względzie przypisują ks. Ogińskim. Lud zajmuje się nietylko wyrobami do użytku praktycznego; włościanin Czechowicz z Rakiszek wystawił własnej roboty i pomysłu wachlarz tudzież pudełka tualetowe; inny, Wojciehowski, dla hr. Przeździeckiej zrobił kredens inkrustowany. Donioślejsze znaczenie w gospodarstwie mają pługi i inne narzędzia rolnicze, wreszcie czterokonna młocarnia (z drzewa), wszystko wykonano przez włościan. Popieranie takich rękodzieł przez wystawę ma wielką wartość dla ludu gubernij białoruskich i litewskich, gdzie jeszcze pierwotna socha i brona drewniana są głównemi narzędziami w rolnictwie, nabywanie zaś udoskonalonych przedmiotów fabrycznych dość jest kosztowne i utrudnione skutkiem nienormalnych warunków komunikacyjnych i kulturalnych. W wystawie wzięło także udział 26 rzemieślników wileńskich i paru z innych miejscowości (Bobrujska, pow. trockiego i wiłkomirskiego). Między innymi zwróciły uwagę: warsztaty domu zarobkowego w Wilnie na Antokolu, warsztaty więziennego domu karnego tamże, warsztaty mińskiego Towarzystwa rolniczego, szkoła rolnicza w Maryengórce i szkoła rzemieślnicza w Grodnie. Gospodarka kobieca również wybitne miejsce zajęła; zwracały uwagę wyroby nabiałowe, drób, przednie gatunki trzody chlewnej itd., nadto przedmioty wchodzące w zakres artystyczny (malowidła na atłasie, dywany, hafty, wyszycia. Zamożniejsi właściciele obok rasowych koni dostarczyli sporo pięknych okazów owiec i wogóle bydła. To też na liście nagród figurują powszechnie znane nazwiska. Również sporo było godnych uwagi okazów z działu ogrodnictwa, sadownictwa, leśnictwa, przetworów owocowych itd. Obecna wystawa miała znaczenie nietylko jako bodziec do racyonalnej produkcyi; wielu uczestnikom przyniosła ona również pożytek w zakresie handlowym, raczej jarmarcznym. Największy popyt miały konie. Owce lekceważono, co dowodzi, że ten dział hodowli jeszcze się nie utrwalił, jakkolwiek gdzieindziej stanowi poważny odłam gospodarki rolnej. Doznały powodzenia powozy, bryczki, uprząż, narzędzia rolnicze, maszyny do nabiału, wogóle wszelkie przedmioty praktyczne. W dziale pozakonkursowym znaleźli się wystawcy z Królestwa Polskiego i ci pod względem handlowym dobrze wyszli. Tak np. fabryka bryczek i powozów z Szydłowca rozprzedała wszystkie przedmioty wystawione. Również powiodło się firmie Kowalski i Trylski z Warszawy i in. Niniejsza czwarta z rzędu wystawa po raz ostatni była urządzona staraniem wileńskiego Towarzystwa wyścigów konnych. Nadal będzie to należało do obowiązku kółek rolniczych. Wystawę zamknięto 24 września.

Jarmark chmielarski. Od lat kilku na dorocznym jarmarku chmielarskim w Warszawie stale się ujawniają te same braki, o których usunięciu wytwórcy radzą, jak gdyby z urzędu. Ważna i zajmująca za granicą pierwszorzędne miejsce gałąź przemysłu, rozwija się u nas bardzo powoli, tak dalece, że jej postęp trzeba skrupulatnie śledzić z drobnowidzem. Faktem jest, iż niektórzy wytwarzają dziś już po 3,000 pudów chmielu rocznie. Cyfra istotnie imponująca wobec tego, iż chmielarstwo czyni u nas zaledwie nieśmiałe kroki. Piwowarstwo jest również potężną, a nawet w wielu ogniskach przemysłu potężniejszą produkcyą, niż gorzelnictwo, musi więc zużywać nie mniej materyału surowego. Śmiesznemi jednak byłyby przechwałki, że ten lub ów rolnik wytwarza trzy tysiące pudów jęczmienia lub kartofli dla gorzelni. Naturalnie okolicznością łagodzącą musi tu być większa wybredność samej rośliny, a więc i staranniejsze około niej chodzenie. Wytworzyć nawet sporą ilość kartofli lub jęczmienia lada chłop potrafi, gdy tymczasem dobrym producentem chmielu nawet wytrawny ziemianin nie zawsze być może. Wielce charakterystycznym jest fakt, że nasz chmiel w surowej postaci bardzo chętnie przez obcych kupców nabywany, idzie za granicę i stamtąd przysposobiony według wymagań piwowarów, znowu do nas wraca, o wiele droższy. Tem się tłomaczy owe znamienne zjawisko, że nasi chmielarze, pomimo wielkiego rozwoju produkcyi piwa w kraju, liczą tylko na odbiorców zagranicznych. Obecny komitet jarmarczny stwierdził, że „przedsiębiorcy cudzoziemcy uznają u nas produkowany chmiel nietylko za najzupełniej szlachetny, lecz nadto za wyższy od wielu innych marek i tego już nawet nie tają, jak to bywało dawniej.“ Znaczną część tegorocznej produkcyi zakupili bardzo chętnie i wcale niezłe ceny zaofiarowali. Z chwilą rozpoczęcia jarmarku było zważonego chmielu przeszło 957 pudów; ilość tę oszacowano do ubezpieczenia na 18,539 rs. O wiele zasobniej w tym samym czasie przedstawiał się jarmark zeszłoroczny, ogólna bowiem ilość zważonego chmielu wynosiła 2,673 pudy, oszacowane na 48,658 rs. Wynika to stąd, iż pomimo dobrego urodzaju, tegoroczny sprzęt chmielu odbywał się przeważnie w niekorzystnych warunkach atmosferycznych, pospiesznie. Produkt więc źle jest przysposobiony, niezupełnie zadawalający, lekki (nie zawiera pełnej ilości lupuliny). Przyczyną słabego dowozu jest jeszcze ta okoliczność, iż prawie $^3/_4$ produkcyi sprzedano na miejscu przed sprzętem po cenach bardzo różnych (12—22 rs. za pud.). Z gubernij Cesarstwa nie dostawiono dotychczas chmielu wcale, pomimo że produkcyę tamtejszą oceniają na 80,000 pud. (w r. z. na 60,000). Komitet przyszedł do wniosku, iż w interesie ogółu wytwórców należy się starać, aby warszawski kantor Banku państwa przyjmował chmiel na skład do swych magazynów w ciągu całego roku. Na specyalnych zaś naradach interesowani położyli nacisk na potrzebę utrzymania pewnej ciągłości w dziedzinie chmielarstwa. Jednorazowe porozumiewauie się w ciągu jarmarku nie jest wystarczające; należy więc utrwalić i drugi termin zbierania się wytwórców w zimie, co da możność gruntownego rozważenia spraw produkcyi i zbytu. Nasi chmielarze działają naoślep, nie mają dokładnego pojęcia ani o rozmiarach produkcyi, ani miejscowościach, gdzie się plantacye rozwinęły. Słowem, brak zupełny w tej mierze danych szczegółowych. Interesowani zwrócili na to uwagę podczas niniejszego jarmarku; uchwalili starać się za pośrednictwem tutejszej instytucyi przemysłowo-handlowej o właściwą organizacyę statystyczną. Poruszono również (już nie po raz pierwszy) sprawę utworzenia specyalnego pisma, czy też wyrobienia osobnego działu w jednym z organów istniejących. Ta ostatnia myśl o wiele jest praktyczniejsza i, zdaniem naszem, najwłaściwsze miejsce dla działu chmielarskiego byłoby w którémkolwiek z pism rolniczych.

Jarmark w Łowiczu. Zupełny brak powodzenia zaznaczył się w roku bieżącym, co jest jeszcze jednym dowodem, świadczącym, że jarmarki są formą handlu już przeżytą. Jednakże nabywcy koni nałogowo odwiedzili Łowicz i ogromnie się zawiedli; towaru żądanego nie było, więc się udali na rynek niezawodny — do Węgler. Zasilili trochę targ znani hodowcy (pp. I. Lasocki z Brochowa, W. Lasocki z Kiernozi, Garczyński z Budynia i in.). Włościańskich koni dostarczono niewiele. Cena przeciętna 50 rs. Bydła, szczególnie wyborowego, również mało, z tego powodu ceny dobre. Najlepiej jakościowo przedstawił się dział tryków i owiec. Handel kramarski zupełnie zanika (w 14 budach sprzedawano głównie kożuchy i baranki).

— W Dąbrowie górniczej powstaje olbrzymi tartak parowy, przy którym działać będzie fabryka listew do ram tudzież wszelkich ozdób drzewnych.

— Wskutek podwyżki cła wwozowego od żelaza, cena tego produktu podniosła się o 10 kop. na pudzie. Olbrzymim zapotrzebowaniom fabryki dąbrowskie wydołać nie mogą.

— Od 1 października obowiązywać zaczną na ruskich kolejach jednostajne taryfy na przewóz towarów w pociągach zwykłych i pośpiesznych.

KRONIKA.

Sprawy społeczne. Dla bezpieczeństwa robotników w fabrykach, gdzie są wyrabiane materyały wybuchowe, wzbronione będzie pracowanie współcześnie więcej niż 6-ciu robotników w budynku przeznaczonym na wyrób materyałów powyższych. Praca dzieci zupełnie będzie tam zakazana.

— Postanowiono straż pograniczną wyjąć z pod władzy departamentu podatków celnych i utworzyć samodzielny zarząd pod nazwą: „sztab korpusu straży pogranicznej“ pod zwierzchnictwem naczelnika z prawami dyrekrora departamentu, w zależności od ministra skarbu. Straż pograniczna na przyszłość zwolniona będzie od konieczności ochraniania granic państw sąsiednich od wywozu z Rosyi kontrabandy, troska zaś o to ma być zostawiona państwom zainteresowanym bezpośrednio. Zadaniem straży będzie wyłącznie ochrona granic państwa od przywożenia kontrabandy zagranicznej. (*Birż. wied.*).

— Wydano pozwolenie krajowcom z obwodu terskiego na dobrowolne wychodźtwo do Turcyi. Tą drogą władza spodziewa się wyplenić żywioł szkodliwy, zajmujący się dotychczas wyłącznie rozbojami.

— Wobec braku osób do zajęcia posad sędziów śledczych i sekretarzów przy wileńskim sądzie okręgowym, prezes sądu prosi rektora uniwersytetu petersburskiego o polecenie studentom, kończącym wydział prawny, aby zapisywali się na kandydatów do powyższych posad. (*Warsz. Dniew.*).

— Wskutek starań Towarzystwa racyonalnego polowania, obostrzono przepisy względem myśliwych. Strażnicy ziemscy otrzymali polecenie, aby od wszystkich osób, spotykanych ze strzelbami na polach, żądali okazywania nie tylko pozwoleń na broń, lecz i świadectw na prawo polowania. W powiatach: skierniewickim i łowickim kilku myśliwych, pomimo że właściciele gruntów pozwolili im polować i pomimo posiadanych pozwoleń na broń, pociągnięto do odpowiedzialności. Za brak tych świadectw na prawo polowania, tracą pozwolenie na broń.

Dobroczynność publiczna. Na rzecz szwalni N. 1 przy ul. Freta w Warszawie zmarła obywatelka z pod Noworadomska, F. Stojanowska, zapisała 1500 rs.

— Zmarły w Radomu S. Bekerman w testamencie polecił, aby 6% od sumy 10,000 rs. synowie jego lub ich spadkobiercy skapitalizowali do sumy 25,000 rs. i wówczas założyli dom starców i kalek wyznania mojżeszowego w Radomiu, jeżeli do tego czasu instytucyi takiej nie będzie.

— P. Izabela Skiwska, wdowa po wydawcy *Tygodnika mód* i *Przyjaciela dzieci*, ofiarowała aktem rejentalnym na rzecz kolonii letnich 12,000 rs.

Szkoły. Lekcye w warszawskim Instytucie muzycznym rozpoczną się 3 października.

— *Prawit. wiest.* ogłasza następujące przepisy o nauczycielach żydowskich (melamedach). Świadectwa wydają dyrekcye naukowe za opłatą 3 rs. rocznie; powinny one być odnawiane co rok. Melamed pragnący otworzyć cheder, powinien mieć lokal jasny, obszerny, nie zawierający oprócz mebli klasowych nic więcej. W pomieszczeniu szkolnem sam nauczyciel lub jego rodzina niema prawa zamieszkiwać, ani też urządzać jakichkolwiek zebrań. Kontrolę nad chederami rozciągają naczelnicy dyrekcyi szkolnych. W każdej szkole powinny być wywieszone na ścianie: świadectwo melameda i lista uczniów.

— Opłata w gimnazyum męzkiem w Chełmie z początkiem nowego roku szkolnego 1893/4 podwyższona będzie we wszystkich klasach z 40 do 50 rs. rocznie.

— Przy szkole niższej rolniczej w Końskowoli pod Nową Aleksandryą dla oficyalistów wprowadzony będzie wykład rzemiosł, niezbędnych w gospodarce wiejskiej.

Sprawy kolejowe. Wobec konieczności wykończenia na 3 października r. b. sprawozdania z eksploatacyi przez skarb kolei Terespolskiej (za 7 miesięcy ubiegłego roku), naczelnik drogi, inż. Kajanus, wydał do urzędników rachuby i buchhalteryi okólnik ostrzegający, iż ci, którzy nie zdążą wykonać powierzonych im robót na powyższy termin, ulegną karom pieniężnym w stosunku do pensyi i opóźnionego czasu (za jeden dzień opóźnienia 1% od pobieranej pensyi, za dwa dni 2% itd.). Chcąc tego uniknąć, urzędnicy pracują codziennie wieczorami, nie wyłączając nawet dni świątecznych. (*Kuryer warsz.*).

Zdrowie publiczne. Stwierdzono pojedyncze wypadki cholery: na Woli pod Warszawą, w Cuniewie pod Czerskiem i w Jadowie.

— W gub. kijowskiej od 3 do 9 września (zapewne star. st.) zachorowało na cholerę 1022 osoby, zmarło 398, w gub. podolskiej od 27 sierp. do 6 wrześn. zachorowało 2,262 zmarło 777. W tych dwóch guberniach epidemia najsilniej się rozwinęła.

Wypadki. Dnia 19 b. m. w Bielsku, stacyi kolei Południ.-Zach. (na linii Brześć-Grajewo), pękł parowóz pociągu. Zginął palacz Krasuski i pomocnik maszynisty Kiślakowski. Poranieni: zarządzający okręgiem białostockim, Potułow, dróżnik Szabłowski i włościanin Miksza. Parowóz był nowy. Przyczyny katastrofy nie są jeszcze wyjaśnione.

Bibliografia. E. Lubowski, *Kiedyż obiad?* krotochwila w 1 akcie, str. 56, Warsz., Gebethner i Wolff.

— *Dwie teściowe*, komedya w 1 akcie z franc. str. 56.

— Z. Kowerska, *Irena*, powieść, str. 287, Warszawa, Gebethner i Wolff.

— M. Gawalewicz, *Ćma*, wyd. 2. z ilustracyami Ilinicza, str. 309, Warsz. Gebethner i Wolff.

— A. Darowski, *Szkice historyczne*, serya I, str. 317, Petersburg, Grendyszyński.

— Z. L. Sulima, *Historya Franka i Frankistów*, str. 267, Kraków, Gebethner.

— W. Lakowitz, *Królestwo zwierząt* według Brehma i innych źródeł, tłom. S. Rewieński, zeszyt I i II (całość zesz. 10), Warszawa, Gebethner i Wolff.

— Dr. J. Nussbaum, *Podręcznik zoologii* dla młodzieży od lat 10 do 14, z 272 rysunkami, str. 329, Kraków, Gebethner.

— Rohlwes, *Nauka leczenia zwierząt domowych*, wyd. 22 przerobione przez dr. G. Fellscha, z 66 drzeworytami, tłpm. A. Strzelecki, str. 267, Warszawa, Gebethner i Wolff.

— *Prawo o służbie w wojsku*, wyd. „Gazety świątecznej", str. 56, Warszawa, kop. 10.

— M. Prawdzic, *Żyto*, jego gatunki i uprawa, str. 21, Warsz., Księgarnia krajowa, kop. 10.

— K. Promyk, *Elementarz*, wyd. 24, str. 30, Warsz., Księgarnia krajowa, kop. 3½.

— Duduś i Gąsior, *Rocznik satyryczny* na rok fantazyjny 2000, str. 83. Warszawa, skład w drukarni Rubiszewskiego, kop. 20.

— S. Sadowski, *Bąk*, kalendarz satyryczno-humorystyczny, ilustrowany, na rok 1894, str. 83, Warszawa, kop. 20.

Odpowiedzi Redakcyi.

Panu Pawłowi Ett. 1) Różnicy w kierunkach nie ma, pod względem literackim wyżej stoi obecnie *B. W.*, 2) lwowskie: 3) nie wyjdzie, bo nie może.

OGŁOSZENIA.

Redaktor i Wydawca dr. fil. Al. Świętochowski.

Дозволено Цензурою, Варшава 17 Сентября 1893 г. Druk K. Kowalewskiego, ul. Królewska Nr. 29.